LUDZIE

Kim jest Kacper Nowicki, student, który w dyskusji pokonał Patryka Jakiego?

STR. 10-11



FOT. ŁUKASZ GDAK

SPORTOWY24

Pasjonujący i pełen niespodzianek finisz PKO Ekstraklasy

STR. 20



dziś SPORTOWY24

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 11.05.2026
Nr 38 (2549)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682

POLITYKA

Prezydent Nawrocki, czyli burza w szklance wody

Karol Nawrocki w kampanii prezydenckiej zapowiadał, że chce być prezydentem sprawczym i aktywnym. Póki co, jego aktywność sprowadza się głównie do wetowania ważnych dla rządu ustaw i wychodzenia z inicjatywami, które z góry skazane są na porażkę i z których kompletnie nic dla nas nie wynika: pomysły na zmianę konstytucji, referendum w sprawie polityki klimatycznej i ustawa SAFE zero procent raczej nie doczekają realizacji. Sejm też raczej nie przyjmie prezydenckiej ustawy o rynku kryptowalut, która pojawiła się w ubiegłym tygodniu. Posłowie ją zapewne odrzucą, bo będą głosować za projektem rządowym.

Ale Karol Nawrocki w ostatnich tygodniach robi wokół siebie sporo szumu. Tylko trudno nie oprzeć się wrażeniu, że z tego szumu nikt nie ma żadnego pożytku. Może poza prezydentem – chociaż to wątpliwe, bo od polityków wymaga się również sprawczości – i jego ministrami, którzy błyszczą przez chwilę na konferencjach prasowych.

STR. 4, 6



FOT. ADAM JANKOWSKI

Budapeszt świętuje, a Zbigniew Ziobro już w USA

Péter Magyar został zaprzysiężony na premiera Węgier, a tego samego dnia były minister sprawiedliwości był widziany na lotnisku w USA

STR. 3

Maciej Samsonowicz: Polski przemysł zbrojeniowy czeka na pieniądze z SAFE **str. 7**

Sfotografowała już 30 porodów i przy każdym mocno się wzrusza. Nie jest to łatwa i prosta praca **str. 12**

Jacek Pałkiewicz: Udział Rosji w Biennale w Wenecji nie jest dziś niewinnym wydarzeniem artystycznym. Wenecja powinna rosyjski pawilon zamknąć **str. 8**

Andrea Tornielli przybliża kulisy głośnej sprawy kard. Mundeleina, który krytykował Hitlera **str. 18**

eprasa.pl bcd09884b6

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

w piątek
magazyn Puls

Młody, z dużego miasta, wykształcony wydaje się odporny na teorie spiskowe. Pozory mylą. Kto tak naprawdę wierzy w nieprawdopodobne rzeczy



Arlena Sokalska
redaktor naczelna „Polski"

PIERWSZE RYSY NA ŚCIANIE?

Upadek Federacji Rosyjskiej śni się wielu osobom, podobnie jak kiedyś wiele osób marzyło o upadku Związku Radzieckiego. Tyle tylko, że wielkie imperia, a takim jest dzisiejsza Rosja, nie upadają znienacka. Dopiero kiedy miniemy pewien punkt, kiedy potęga zaczyna się kruszyć pod własnym ciężarem, proces nabiera tempa.

Na razie nic nie wskazuje na to, że Federacja Rosyjska znajduje się w momencie krytycznym, ale tegoroczna parada z okazji Dnia Zwycięstwa pokazała wyraźne rysy na murach Kremla.

Przede wszystkim Putin przegrał psychologiczną wojnę z Zełenskim. Kiedy stało się jasne, że Ukraińcy mogą dronami zakłócić paradę, Rosjanie zdecydowali się nie pokazywać żadnej techniki wojskowej: czołgów, rakiet, a nawet pojazdów piechoty.

A potem była przepychanka związana z ogłaszaniem zawieszenia broni - najpierw przez Ukrainę, a potem przez Rosję. Wszystko skończyło się tym, że spanikowany Putin dzwonił do prezydenta Trumpa, by ten wpłynął na Ukrainę. Ta zgodziła się na zawieszenie broni od 9 do 11 maja, ale zażądała w zamian wymiany jeńców w formacie 1000 na 1000.

A na koniec Wołodymyr Zełenski podpisał dekret, na mocy którego wyłączył obszar wokół Placu Czerwonego w Moskwie z planu użycia ukraińskiej broni podczas parady. „Zezwolić na zorganizowanie 9 maja 2026 r. parady w Moskwie" - głosi pismo.

Całkiem to w stylu Zełenskiego, który lubi „trollować" Putina w taki lub podobny sposób. Ale właśnie ten żart, podobnie jak chyba najuboższa w historii parada, pokazują, że coś w Rosji idzie nie według planu.

Ukraińcy nie tylko ośmieszyli Rosję i Putina, ale przede wszystkim pokazali jej słabość. A zachodnie media donosiły w ub. tygodniu, że Putin paranoicznie obawia się przewrotu pałacowego.

Do upadku kolosa jeszcze długa droga, ale już widać, że jego gliniane nogi zaczynają kruszeć.

Panie prezydencie, nie wiem, dlaczego zawetował pan pieniądze dla polskiego wojska. Ale wiem jedną rzecz. Jest pan politykiem nieskutecznym. Dostał pan lekcję pokory. Niech pan z niej skorzysta

Włodzimierz Czarzasty, marszałek Sejmu

NOBLISTKA Z IRANU MIĘDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIĄ



Liliana Sonik
publicystka

Narges Mohammadi, 54-letnia noblistka, została przewieziona z więzienia do szpitala, gdyż jej stan zdrowia uległ „katastrofalnemu pogorszeniu". Norweski Komitet Noblowski wezwał irańskie władze do natychmiastowej reakcji. W więzieniu Mohammadi przeszła zawał serca.

17 stycznia 2025 r. - czyli po ataku na Ukrainę - Teheran zawarł Traktat o Wszechstronnym Partnerstwie Strategicznym z Rosją.

Teraz zajmują nas ceny ropy i tląca się wojna. Kto miałby się przejmować jakąś prawniczką albo noblistką w więzieniu?

Narges Mohammadi jest absolwentką fizyki i laureatką pokojowej nagrody Nobla 2023. W grudniu ubiegłego roku, jeszcze przed krwawo stłumionymi demonstracjami, została kolejny raz aresztowana i skazana na 6 lat więzienia za „narażanie bezpieczeństwa państwa" + dodatkowy rok za „szerzenie propagandy przeciw republice islamskiej".

Pierwszy raz trafiła do więzienia, mając 22 lata. Kolejny raz została skazana po tym, jak przy grobie Sattara Beheshtiego mówiła: „Jak to możliwe, że parlamentarzyści proponują plan mający na celu promowanie cnót i zapobieganie występkom, a nikt nie zabrał głosu dwa lata temu, kiedy niewinny człowiek o nazwisku Sattar Beheshti zmarł w wyniku tortur zadanych przez przesłuchujących go funkcjonariuszy?".

W ciągu dwu dekad Mohammadi więcej czasu spędziła w więzieniu niż na wolności. Wszystko dlatego, że występuje przeciw karze śmierci i ograniczaniu wolności kobiet. Jej mąż [po 14 latach więzienia] wyjechał z Iranu, zabierając z sobą dwójkę ich dzieci. Ona została.

Prawniczka Nasrin Sotoudeh pierwszy wyrok usłyszała w roku 2010: 6 lat więzienia i 20 lat zakazu praktyki adwokackiej za „szerzenie antypaństwowej propagandy". Wskutek presji światowej opinii została zwolniona. W słynnym filmie „Taxi-Teheran" tłumaczyła: „Upewniają się, że wiemy, że nas obserwują. Preparują ci dossier: stajesz się agentem Mossadu albo CIA, albo MI6... A potem dodają skandal obyczajowy. Zamieniają twoje życie w więzienie. Jesteś na wolności, ale świat zewnętrzny stał się więzieniem. Z twoich najlepszych przyjaciół robią najgorszych wrogów. Nie masz wyboru i musisz uciekać z kraju albo modlić się o powrót do nory. Więc pozostaje ci tylko jedno: nie martw się!".

Broniła kobiet sądzonych za odmowę noszenia chusty, więc aresztowano ją za „zgorszenie" i „rozpowszechnianie fałszywych informacji". Została skazana na 33 lata więzienia i 148 uderzeń biczem. Rodzina nie wie, co się z nią dzieje.

Emblematycznych postaci prześladowanych za niewystarczające posłuszeństwo są w Iranie setki. I dziesiątki tysięcy więzionych pod byle pretekstem, torturowanych, czasem skazanych na śmierć.

Rzeczywistość tę naświetliła w rozmowie z Rafałem Strzelcem prof. Anna Krasnowolska, iranistka z Instytutu Filologii Orientalnej UJ: „... Co kilka dni pojawiają się informacje o kolejnych egzekucjach. [...] Szczególnie drastyczne są przypadki młodych ludzi, którzy otrzymują wyrok przed ukończeniem osiemnastego roku życia. Tacy nastolatkowie przebywają w więzieniu do momentu osiągnięcia pełnoletności, a następnie zostają straceni. Podobnie traktowane są kobiety w ciąży. Wykonanie wyroku odracza się do czasu porodu oraz na krótki okres karmienia piersią. Następnie dziecko zostaje im odebrane, a kara wykonana". Kiedy więc pochylacie się Państwo ze współczuciem nad niedolą irańskich władz, pomyślcie, czy na współczucie zasługują.

CIUPAGA I MONA LISA Z CHIŃSKIEGO SKLEPU



Lucyna Talaśka-Klich
publicystka

Nie mamy szans - powiedział Toshihiro Mibe, prezes Hondy, po powrocie z Chin. Bo w Państwie Środka mają znacznie niższe koszty produkcji, fabryki są zautomatyzowane, zatem wprowadzenie nowych modeli na rynek to dla Chińczyków kaszka z mlekiem. Europejskim, koreańskim czy japońskim koncernom coraz trudniej konkurować z chińskimi producentami aut.

- Nie mam szans, żeby wygrać z chińszczyzną - powiedziała krawcowa z Bydgoszczy, która przez ponad dwadzieścia lat utrzymywała się z szycia, skracania i przerabiania. - Teraz ludzie wolą kupić nową bluzkę za kilkanaście złotych, niż naprawiać starą za kilkadziesiąt. Już nie szyje, nie skraca, nie przerabia. Teraz dorabia sobie, sprzedając nici, guziki i zamki błyskawicz-ne wyprodukowane... w Chinach. Chińskie towary są wszechobecne. Koleżanka była Pekinie, na chińskim straganie znalazła pamiątki z... Zakopanego.

Poszłam tym tropem. Zajrzałam na stronę chińskiej platfor-my zakupowej. Pamiątek z Polski jest tam do wyboru, do koloru. Są kubki termiczne, podkładki, otwieracze, breloczki, kosmetyczki, torby, magnesy, koszulki... Uśmiałam się do łez. Najbardziej ze strojów folklorystycznych przypominających pomie-szanie z poplątaniem. Dziewczyna w krakowskim stroju tańczy z chłopakiem, który chyba został „ubrany" przez sztuczną inteligencję. Jego czapka bardziej kojarzy się z Białorusią niż z Polską. Można też kupić płaską tabliczkę „w stylu vintage". Na niej kura i napis: „Uwaga, kurze g... wszędzie." Na tabliczce nie ma wykropkowanych słów. No i jest informacja, że to „(...) nostalgiczny polski tekst, odpowiedni do kuchni, ogrodów, barów (...)". Patrząc na coś takiego, kawa chyba by mi nie smakowała.

Żeby nie było - pamiątki z różnych zakątków świata też tam są. Z Turcji, Grecji, Hiszpanii, Egiptu, Francji... Znalazłam magnesiki z Paryża, takie same jakie kupiłam we Francji po 5 euro za sztukę. Różnica? Tylko cena - od 3 do 5 zł.

Zatem pamiątkami nie ma się już co przejmować. Nawet przed wakacjami można kupić suweniry z miejsc, w które się dopiero pojedzie. Nie trzeba przepłacać, marnować czasu na buszowanie po lokalnych straganach, bo i tak pamiątki będą Made in China. Jakie to smutne...

eprasa.pl bcd09884b6

FETA NA WĘGRZECH, ZIOBRO JUŻ W USA

Wielotysięczny tłum świętował w sobotę na placu Kossutha przed siedzibą węgierskiego parlamentu zaprzysiężenie nowego premiera Petera Magyara

Karolina Wrońska

Dziesiątki tysięcy ludzi wypełniło centralny plac Budapesztu podczas inauguracji parlamentu, oczekując zaprzysiężenia nowego premiera. Jego wybór został przyjęty przez tłum głośnym aplauzem. Brawa przerywały też trwające około godziny przemówienie Magyara do deputowanych.

Po zamknięciu posiedzenia nowy premier Węgier przemówił na placu do swoich zwolenników, dziękując im za wsparcie i wzywając od odbudowania wspólnoty narodowej.

- Myślę, że to ważne - mówiła 30-letnia Nori. - Słusznie zaatakował poprzedni rząd i prezydenta, ale przestrzegł przed atakowaniem zwolenników Viktora Orbana. Musimy ponownie myśleć o sobie jako o narodzie. Cieszę się, że Magyar tak silnie to podkreślił - tłumaczyła.

Po zakończeniu oficjalnych uroczystości przed budynkiem parlamentu rozpoczęła się impreza, promowana przez Tiszę jako „narodowe świętowanie zmiany reżimu". Na scenie wybrzmiały węgierskie przeboje, pieśni narodowe oraz międzynarodowe hity klubowe. Zebrani tańczą, śpiewają, spontanicznie okazując radość.

- Wiemy, że pozbyliśmy się naprawdę szkodliwego reżimu i musimy uzbroić się w cierpliwość. Ale zmiana nadeszła, wierzymy, że zmiana na lepsze. To nam na razie wystarczy, żeby dziś się cieszyć - przyznali młodzi mieszkańcy Budapesztu.

W tłumie dominowały flagi Węgier i Unii Europejskiej, która po wyborze nowej marszałkini parlamentu wróciła też na fasadę siedziby Zgromadzenia Narodowego.

W przemówieniu po wyborze na premiera Peter Magyar podkreślił, że będzie Węgrom służyć, a nie nimi rządzić. Po złożeniu przysięgi Magyar zobowiązał się do pracy „z wiarą, wolą i miłością do ojczyzny", aby sprostać przykładowi przodków,



FOT. PAP/EPA

W przemówieniu po wyborze na premiera Peter Magyar podkreślił, że będzie Węgrom służyć, a nie nimi rządzić

takich jak Lajos Batthyany - pierwszy premier Węgier, Imre Nagy - premier podczas powstania antykomunistycznego w 1956 roku, czy Jozsef Antall - pierwszy szef rządu po upadku komunizmu. - Czuję i rozumiem odpowiedzialność. Stoję tu dzisiaj nie dlatego, że jestem lepszy od kogokolwiek. Jestem tu, ponieważ miliony Węgrów zdecydowały, że chcą zmian. Zaufanie, którym nas obdarzono, to zaszczyt i wielki obowiązek moralny - powiedział Magyar.

- To, co się stało, jest przestrogą dla wszystkich premierów, że władza jest ulotna. Konsekwencje naszych decyzji będziemy odczuwać przez pokolenia - zaznaczył.

Magyar zobowiązał się do budowy kraju, w którym wszyscy mogą cieszyć się przynależnością do tej samej ojczyzny. - Uczymy się na nowo myśleć o sobie jako o narodzie - powiedział premier.

Zauważył, że TISZA odziedziczyła „kraj, w którym 3 miliony ludzi żyje w ubóstwie". Ocenił, że przez system stworzony przez jego poprzednika, Viktora Orbana, węgierskie pieniądze trafiały do wąskiej elity. Podkreślił, że zadaniem nowych władz będzie ujawnienie nadużyć ostatnich lat, zbadanie spraw korupcji, niegospodarności i innych oszustw.- Zbudujemy Węgry, gdzie publiczne pieniądze znów będą publicznymi pieniędzmi - obiecał Magyar.

Zmiana władzy na Węgrzech sprawiła, że Zbigniew Ziobro, który do niedawna przebywał na Węgrzech, gdzie miał azyl polityczny, wyleciał do USA. Magyar zapowiadał, że wyda go Polsce. - Sugerowałem im już wcześniej, żeby nie chodzili do Ikei i nie kupowali mebli, bo nie zostaną tu długo. Węgry nie będą przyjmować poszukiwanych międzynarodowych przestępców – mówił już po wygranej w wyborach.

O wyjeździe Ziobry poinformowała Telewizja Republika, z kolei TVN24 opublikował zdjęcie otrzymane od widza. Jest na nim - według autora zdjęcia - Ziobro na lotnisku Newark w New Jersey w Stanach Zjednoczonych; miał być tam widziany w sobotę. Według wPolityce.pl Ziobro wyleciał z Węgier w sobotę - ma amerykańską wizę. Nie wiadomo, co dzieje się z Marcinem Romanowskim, za którym wystawiono Europejski Nakaz Aresztowania. Mają jednak trwać starania by i były wiceminister trafił za ocean. PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY FUNDACJA ORŁY SPORTU 0011516815

Z Orlika na wielkie stadiony – rusz po swoje piłkarskie marzenia!

Trwają zapisy do trzeciej edycji Turnieju „Z Orlika na Stadion" – jednego z największych projektów piłkarskich dla dzieci i młodzieży w Polsce. To inicjatywa, która daje młodym zawodnikom realną szansę na rozwój, sportową rywalizację i przeżycie wyjątkowej przygody – od lokalnego boiska aż po ogólnopolski finał.



Marzenia zaczynają się na Orliku

Każdy, kto choć raz kopnął piłkę na szkolnym boisku, wie, jak łatwo ponieść się marzeniom o dalszej karierze. Wystarczy chwila – jeden udany drybling, gol strzelony w ostatnich sekundach – i nagle wyobraźnia przenosi nas na największe stadiony świata. Turniej „Z Orlika na Stadion" powstał właśnie po to, by tę dziecięcą wizję przekuć w coś realnego. To przestrzeń, w której pasja spotyka się z możliwościami. Młodzi zawodnicy mogą tu sprawdzić swoje umiejętności, nauczyć się rywalizacji i – co najważniejsze – uwierzyć, że ich marzenia są w zasięgu ręki.

Rekrutacja wystartowała 15 kwietnia i potrwa do końca maja. Projekt jest finansowany ze środków budżetu państwa, których dysponentem jest Minister Sportu i Turystyki. Partnerem strategicznym turnieju jest ORLEN.

Ogólnopolska skala, lokalne emocje

Projekt realizowany przez Fundację Orły Sportu ma imponujący zasięg. W poprzedniej edycji wzięło udział około 72 tysięcy uczestników z całej Polski, tworzących ponad 8 tysięcy drużyn. Rozegrano tysiące turniejów lokalnych, które stały się areną pierwszych sportowych sukcesów, ale też lekcji sportowego współzawodnictwa oraz współpracy.

To właśnie połączenie ogólnopolskiej skali z lokalnym charakterem sprawia, że ten turniej jest wyjątkowy. Z jednej strony daje możliwość rywalizacji na wysokim poziomie, z drugiej – pozostaje bliski uczestnikom, bo zaczyna się dokładnie tam, gdzie rodzi się pasja: na Orliku.

Przemyślana droga do finału

Struktura turnieju została zaplanowana w taki sposób, by każdy etap był naturalnym krokiem naprzód. Rozgrywki rozpoczynają się we wrześniu na poziomie lokalnym, gdzie drużyny mierzą się z zespołami z najbliższej okolicy. Następnie najlepsi awansują do etapów regionalnych i dalej do makroregionalnych (które odbywają się w październiku), gdzie poziom rywalizacji stopniowo rośnie.

Kulminacją jest listopadowy finał ogólnopolski na wielkim piłkarskim stadionie. Tam właśnie spotkają się najlepsze drużyny z całego kraju. Dla młodych zawodników to nie tylko szansa na zwycięstwo, ale przede wszystkim możliwość doświadczenia atmosfery dużego wydarzenia sportowego – takiej, jaką znają z telewizji.

Turniej dla każdego

Jednym z najważniejszych założeń turnieju „Z Orlika na Stadion" jest jego dostępność. Otwarty jest dla różnych środowisk – mogą w nim uczestniczyć zarówno drużyny szkolne, zespoły amatorskie, jak i kluby czy akademie piłkarskie. To, co się tu liczy, to zaangażowanie i chęć gry.

Podział na ścieżki Junior i Junior Pro pozwala wyrównać poziom rywalizacji. Dzięki temu zarówno początkujący, jak i bardziej doświadczeni zawodnicy mogą czerpać radość z gry i rozwijać swoje umiejętności w odpowiednim tempie. Uczestnicy rywalizują w trzech kategoriach wiekowych: U-13, U-14 i U-15.

Inspiracja, która daje „kopa"

Szczególną wartością trzeciej edycji jest obecność młodych ambasadorów – zwycięzców poprzedniego turnieju. Ich historie są najlepszym dowodem na to, że udział w projekcie może być początkiem czegoś większego.

Jeszcze niedawno grali na tych samych boiskach, w tych samych warunkach. Dziś inspirują innych, pokazując, że sukces nie jest kwestią przypadku, lecz odwagi, pracy i determinacji. To przekaz, który trafia do młodych ludzi znacznie mocniej niż jakiekolwiek hasła promocyjne.

Nagrody i bezcenne doświadczenie

Turniej to nie tylko emocje sportowe, ale także konkretne nagrody. Jedną z nich jest możliwość udziału w zagranicznym zgrupowaniu piłkarskim – doświadczeniu, które pozwala zobaczyć, jak wygląda trening i rywalizacja na międzynarodowym poziomie.

Jednak dla wielu uczestników najważniejsze są nie nagrody materialne, lecz to, co zostaje z nimi na dłużej. Nowe przyjaźnie, umiejętność pracy w zespole, radzenie sobie z presją i emocjami. To wszystko buduje charakter i procentuje także poza boiskiem.

Sport, który rozwija

Turniej „Z Orlika na Stadion" wpisuje się w szerszą ideę promowania aktywnego stylu życia wśród dzieci i młodzieży. W czasach, gdy coraz więcej czasu spędzamy przed ekranami, takie inicjatywy mają szczególne znaczenie. Dzięki nim młodzi ludzie mają okazję oderwać się od codzienności, zadbać o zdrowie i odkryć radość płynącą z ruchu. Sport uczy także odpowiedzialności, systematyczności i współpracy – umiejętności, które przydają się w każdej dziedzinie życia.

TERAZ TWÓJ RUCH
Zapisy do trzeciej edycji turnieju trwają do 31 maja i odbywają się online na stronie
ZOrlikaNaStadion.pl
To moment, w którym wszystko zależy od jednej decyzji – czy spróbować.

Może to być początek pięknej przygody! Być może to Twój pierwszy krok w stronę ambitnych celów? A może po prostu niezapomniane doświadczenie, które zostanie na całe życie. Jedno jest pewne – nie dowiesz się, jak daleko możesz zajść, dopóki nie wyjdziesz na boisko.

eprasa.pl bcd09884b6

PREZYDENT NAWROCKI. DUŻO SŁÓW, MAŁO EFEKTÓW

Karol Nawrocki w kampanii prezydenckiej zapowiadał, że chce być prezydentem sprawczym i aktywnym. Póki co, jego aktywność sprowadza się głównie do wetowania ważnych dla rządu ustaw i wychodzenia z inicjatywami, które z góry skazane są na porażę i z których kompletnie nic dla nas nie wynika

Dorota Kowalska



FOT. ADAM JANKOWSKI

Inicjatywy, z którymi wychodzi Karol Nawrocki są, bardzo głośne, ale ich realizacja jest najdelikatniej mówiąc, wątpliwa

Karol Nawrocki w ostatnich tygodniach robi wokół siebie sporo szumu. Tylko trudno nie oprzeć się wrażeniu, że z tego szumu nikt nie ma żadnego pożytku. Może poza prezydentem - chociaż to wątpliwe, bo od polityków wymaga się również sprawczości - i jego ministrami, którzy błyszczą przez chwilę na konferencjach prasowych. Ale też inicjatywy, z którymi wychodzi Karol Nawrocki są, najdelikatniej mówiąc, wątpliwe.

I tak, prezydent postanowił ostatnio zmieniać konstytucję, wprawdzie mówił o tym od dłuższego czasu, ale teraz powołał Radę Nowej Konstytucji przy Prezydencie RP. Weszli do niej prawnicy i politycy.

- Zaczynamy pracę nad konstytucją nowej generacji roku 2030. Bardzo dziękuję profesjonalistom, dziękuję ludziom odważnym. Dziękuję za to, że reprezentujecie Państwo różne środowiska. Dzięki Wam, dzięki temu, że jesteście różni, Pałac Prezydencki stanie się właśnie miejscem debaty. Debaty w odpowiedzialności politycznej i społecznej, debaty w odpowiedzialności za ciągłość państwa – powiedział prezydent podczas uroczystości na placu Zamkowym. -Wasza różnorodność i różny światopogląd gwarantują, że będzie to uczciwa debata, do której zapraszam wszystkich – podkreślił Karol Nawrocki.

Problem polega na tym, że, póki co, żadnemu ugrupowaniu obecnemu w Sejmie na zmianie konstytucji nie zależy, a, jeśli już miałoby komuś zależeć to Koalicji Obywatelskiej.

- O wiele można posądzać działaczy PiS-u, ale nie o to, że nie znają wyników badań opinii publicznej i przełożenia tego na wyniki sondaży. Nie ma takiej większości, która byłaby zdolna zmienić konstytucję – mówił mi ostatnio prof. Rafał Chwedoruk, politolog i komentator sceny politycznej. - Natomiast idea referendum, która już pojawiła się w części wypowiedzi, byłaby idealnym motywem kampanii wyborczej PiS-u, stawiając Konfederację i Brauna w trudnej sytuacji. Myślę, że przede wszystkim o to na tym etapie chodzi. Wzmocnienia władzy prezydenckiej w dzisiejszym świecie, biorąc pod uwagę to, co się dzieje w różnych krajach, zarówno demokratycznych, jak i takich, w których demokratyzm jest dyskusyjny, to nie jest pomysł odpowiadający realnym wyzwaniom – dodał.

Ruch prezydenta wywołał w sieci burzę.

„Bezpieczeństwo Polsce można zapewnić przestrzegając Konstytucji, a Prezydent Nawrocki ma z tym ewidentny problem. Zamiast zatem pisać nową ustawę zasadniczą, skupcie się w Pałacu Prezydenckim, aby nie łamać obecnej Konstytucji!" - napisał minister cyfryzacji, wicepremier Krzysztof Gawkowski.

Zbigniew Konwiński z KO ocenił, że to „paradoks dzisiejszego dnia, bo z okazji Święta Konstytucji 3 maja o potrzebie nowej konstytucji krzyczał Karol Liberum Veto Nawrocki"

Z kolei Borys Budka zalecił Karolowi Nawrockiemu porady z prawa konstytucyjnego.

Politykom Prawa i Sprawiedliwości inicjatywa prezydenta oczywiście bardzo się podoba, chociaż doskonale wiedzą, że kompletnie nic z niej nie wynika, bo żadnej zmiany konstytucji w najbliższym czasie nie będzie. Ale przez jeden dzień mówiło się i Karolu Nawrockim i jego ministrach.

Kolejny pomysł Karola Nawrockiego - prezydent podjął decyzję o skierowaniu wniosku do Senatu o przeprowadzenie ogólnokrajowego referendum w sprawie wdrażania założeń polityki klimatycznej Unii Europejskiej.

„Czy jesteś za realizacją unijnej polityki klimatycznej, która doprowadziła do wzrostu kosztów życia obywateli, cen energii i prowadzenia działalności gospodarczej i rolniczej?" - tak ma brzmieć pytanie, które w ramach ogólnokrajowego referendum 27 września chce zadać Polakom prezydent.

I tak, podczas gdy politycy prawicy podkreślają, że Polacy „mają prawo się wypowiedzieć" w tej kwestii, przedstawiciele obozu rządzącego zarzucają prezydentowi próbę zatuszowania „krypto afery" i oceniają, że „pytanie referendalne ma być oczywistą tezą". Wiadomo przecież, jak odpowiedziałoby na nie większość Polaków.

Głos w sprawie zabrał między innymi szef Biura Polityki Międzynarodowej prezydenta Marcin Przydacz.

„Czy jesteś za realizacją unijnej polityki klimatycznej, która doprowadziła do wzrostu kosztów życia obywateli, cen energii i prowadzenia działalności gospodarczej i rolniczej? Naród ma prawo się wypowiedzieć" - napisał na portalu X, następnie zwracając się do premiera Donalda Tuska. „Dotarło?" - spytał.

Z kolei rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz zauważył, że „polityka klimatyczna Unii Europejskiej to ogromne obciążenia finansowe. Wysokie rachunki za energię elektryczną, rosnące nakłady na utrzymanie miejsc pracy, wzrost cen żywności, poważne koszty dla przedsiębiorców i rolników".

Mniej entuzjastycznie do inicjatywy prezydenta podchodzą politycy koalicji rządzącej.

„Oto moment upadku intelektualnego prawicy, kiedy paskowy Republiki wymyśla Prezydentowi pytania do referendum. To susza i uzależnienie od węgla i ropy podnoszą ceny żywności i prądu. Nie UE. Ten wniosek wyląduje tam, gdzie jego miejsce - w koszu" - napisała wicemarszałkini Senatu z Lewicy Magdalena Biejat.

Ministra klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska zauważyła, że wniosek prezydenta to „czysta polityka i to z poważną amnezją", bo to rząd Prawa i Sprawiedliwości brał udział w kształtowaniu polityki klimatycznej UE, a obecny stara się, aby ambicje Europy uwzględniały możliwości państw członkowskich.

„Pomysł Karola Nawrockiego nie spowoduje zmiany polityki klimatycznej Europy. Nie pomoże też w budowaniu odporności Polski na zmianę klimatu, nie odbuduje zasobów wodnych. Nie zmniejszy strat wielkoobszarowych pożarów lasów, jak ten na Lubelszczyźnie, z którym aktualnie walczymy" - napisała Hennig-Kloska w serwisie X.

Właśnie. Owe referendum - nawet jeśli by do niego doszło, co mało prawdopodobne - kompletnie niczego nie zmieni. W takim razie, o co chodzi prezydentowi?

„To próba Nawrockiego przykrycia Kryptoafery PiS przez referendum jest tak desperacka, jak tylko można sobie wyobrazić" - ocenił poseł Zbigniew Konwiński.

No tak, bo mamy jeszcze problem rynku krytptowalut. Przypomnijmy, z informacji ABW wynika, że na przełomie października i listopada 2025 roku, miesiąc przed głosowaniem weta prezydenta w sprawie regulacji rynku kryptowalut, Przemysław Kral, prezes zarządu giełdy kryptowalutowej Zondacrypto dokonał wpłat na rzecz dwóch fundacji: 450 tys. zł wpłacono Fundacji Instytut Polski Suwerennej Zbigniewa Ziobro. Inna spółka związana z Zondacrypto i panem Kralem Expofer Servis House zrealizowała transakcję na rzecz fundacji posła Przemysława Wiplera. Zondacrypto była także głównym sponsorem imprezy prawicowych działaczy CPAC. W trakcie kampanii prezydenckiej najważniejszymi uczestnikami tej imprezy byli prezydenci Duda i Nawrocki. Według premiera, Zondacrypto powstała w „okolicznościach zasługujących na mocny film kryminalny". Założyciel zaginął w nieznanych okolicznościach, według wszystkich przypuszczeń nie żyje. Jak przypomniał Donald Tusk, „wielka kariera" Zondacrypto zaczęła się w 2022 roku z nowym szefem, za pieniądze - jak oświadczył szef rządu - rosyjskiej mafii.

Dzisiaj sprawę Zondacrypto bada prokuratora, poszkodowanych jest ponad 1500 osób, które na giełdzie krytowalut straciły miliony złotych.

Prezydent Nawrocki, już po pierwszym zawetowaniu ustawy regulującej w Polsce ten rynek zapowiadał, że złoży do Sejmu swój projekt ustawy w tej sprawie, złożył go po drugim wecie.

- Pan prezydent w dniu dzisiejszym złożył do marszałka Sejmu projekt ustawy o kryptoaktywach, prezydencki projekt ustawy, który reguluje ten rynek - poinformował w środę szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki. - Jest to także wyjściem naprzeciw rządowi, w którym premier Donald Tusk chce iść totalnie na ścianę - dodał prezydencki minister.

Ruch prezydenta Nawrockiego szybko skomentował minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski.

- Co prezydent w ogóle ma do zgłaszania ustaw o kryptowalutach? Przecież to są bardzo skomplikowane, trudne kwestie. Mówimy o ustawie, która jest wdrożeniem dyrektywy europejskiej. Wdrażanie dyrektyw europejskich jest zadaniem rządu - mówił Radosław Sikorski w TVP Info.

I podkreślał, że takie regulacje powinny być przygotowywane przez specjalistów z Ministerstwa Finansów i innych instytucji państwowych.

- To jest wszystko część desperackiego bronienia tej trefnej spółki i własnych sponsorów. To jest tak kompromitujące dla urzędu prezydenta. Przecież prezydent nie jest ani trzecią izbą parlamentu, ani Ministerstwem Finansów – stwierdził Radosław Sikorski.

Pytany o to, czy prezydent próbuje w ten sposób „wyjść z twarzą" po wcześniejszych wetach, odpowiedział: - Z twarzą to już będzie ciężko, ale można po prostu podpisać i nie wetować.

I jeszcze koniec tego tygodnia: rząd podpisał w piątek umowę SAFE, w ramach której Polska otrzyma od Unii Europejskiej pożyczkę w wysokości 43,7 miliarda euro na wzmocnienie sektora zbrojeniowego.

Donald Tusk zapewnił przy okazji, że rząd znajdzie sposoby - mimo weta prezydenta Karola Nawrockiego do ustawy o SAFE - by z funduszy europejskich mogły w dużo większym stopniu korzystać polskie służby, w tym straż graniczna, straż pożarna, policja czy obrona cywilna.

- Chociaż, powiem szczerze, nadal nie rozumiem, jak można było w tym samym czasie promować Zondacrypto i jednocześnie blokować 180 miliardów złotych dla Polski, dla polskiej armii, dla polskich firm zbrojeniowych. Nigdy tego nie zrozumiem - stwierdził premier.

Polska pieniądze z unijnego programu SAFE dostanie, mimo że prezydent Nawrocki zrobił wszystko, żeby tak się nie stało. To tak a propos sprawczości.

eprasa.pl bcd09884b6

REKLAMA

0011519430

Generali, z myślą
o Rolnikach



ŚPIJ SPOKOJNIE,
GDY UPRAWY
BUDZĄ SIĘ DO ŻYCIA

Nie obawiaj się czarnych chmur –
wybierz ubezpieczenie upraw Generali
z dopłatą z budżetu państwa.

Niniejszy materiał ma wyłącznie charakter reklamowy i informacyjny oraz nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 § 1 ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks cywilny. Szczegółowe warunki ubezpieczenia, w tym ograniczenia i wyłączenia odpowiedzialności z nimi związane, jak również informacje na temat zasad działania produktu określone są w obowiązujących Ogólnych Warunkach Ubezpieczenia Upraw Rolnych oraz Klauzul Szczególnych, przekazywanych klientowi przed zawarciem Umowy ubezpieczenia, dostępnych na stronie generali.pl, u poszczególnych dystrybutorów lub w siedzibie Generali Towarzystwa Ubezpieczeń Spółka Akcyjna przy ul. Senatorskiej 18, 00-082 Warszawa.

GENERALI

eprasa.pl bcd09884b6

Polska
Poniedziałek, 11.05.2026

W ŻADNYM SYSTEMIE DEMOKRATYCZNYM WŁADZA PREZYDENTA NIE JEST NIEOGRANICZONA

Systemy prezydenckie są często politycznie bardziej skuteczne, tak jak widać w tej chwili na przykładzie Donalda Trumpa, który ma możliwość autonomicznego podejmowania decyzji, w tym o sprawach najwyższej rangi na arenie międzynarodowej. Natomiast skutki takich rządów ponosi cały naród. Z kolei w przypadku parlamentarnych procesów decyzyjnych - są one nieco powolniejsze, ale są bardziej pluralistyczne. Mogą sprawiać wrażenie mniej skutecznych, ale są też bardziej odporne na radykalizm, błędy – tłumaczy dr hab. Jarosław Nocoń, politolog z Uniwersytetu Gdańskiego

Tomasz Chudzyński

Prezydent Karol Nawrocki chce zmienić konstytucję i wprowadzić system prezydencki w Polsce, w miejsce obecnego – parlamentarno-gabinetowego. Czym jest system prezydencki w demokracji?
Jest takim systemem dystrybucji władzy, w którym największe wpływy koncentrują się w rękach instytucji prezydenta państwa. To on jest najbardziej sprawczym podmiotem w tym systemie politycznym. Oczywiście, inne instytucje, jak parlament czy Sejm, czy Senat mają też zasadniczą rolę kontroli czy też weryfikacji decyzji prezydenta, ponieważ tak naprawdę w żadnym systemie demokratycznym prezydent nie ma władzy nieograniczonej.

W uważanym za najbardziej modelowy systemie prezydenckim demokratycznego świata, czyli obowiązującym w Stanach Zjednoczonych, funkcjonuje cała gama narzędzi kontrolnych wobec polityki prezydenta – tzw. check and balance. System francuski ma ich mniej…
W teorii tak jest. Natomiast bardzo wiele zależy od konkretnych uwarunkowań i, jak dzisiaj nam podpowiada doświadczenie, od konkretnych postaci, które sprawują funkcję prezydenta. Mamy zjawisko opisywane już przez politologów, które określane jest mianem prezydencjalizmu. Opisuje ono sytuację, w której polityk sprawujący instytut prezydenta może zwiększać swoją sprawczość, zakres realnych wpływów bez zmieniania systemowych regulacji prawnych. Jest to możliwe. U nas widać to chociażby w przypadkach tzw. falandyzacji prawa z czasów prezydenta Wałęsy. Obecne działania prezydenta Nawrockiego również pokazują, że w ramach określonego porządku prawnego można mówić o rozszerzaniu pewnej formy kompetencji czy wpływów głowy państwa.

Prezydent Nawrocki już w czasie swojej inauguracji zapowiadał nową konstytucję, która miałaby wprowadzić system prezydencki. Obowiązujący dziś system uniemożliwia mu polityczną sprawczość, na miarę jego ambicji?
Mieliśmy już podobne uwarunkowania w historii Polski. Na przykład Konstytucja Kwietniowa z 1935 roku była pisana „pod" Józefa Piłsudskiego. Z zasady systemy prezydenckie koncentrują większość władzy w osobie jednego polityka, jak już mówiliśmy. Moglibyśmy zatem mówić o próbie umocowanego w ustawie zasadniczej „wzmocnienia" rządów Karola Nawrockiego w kolejnych latach.

Prezydent tłumaczy ten pomysł skutecznością rządów prezydenckich, ucieczem partyjnych sporów. A przed nim większość kadencji i perspektywa kolejnej.
Systemy prezydenckie są często bardziej skuteczne, tak jak widać w tej chwili na przykładzie Donalda Trumpa, który ma możliwość autonomicznego podejmowania decyzji, w tym o sprawach najwyższej rangi na arenie międzynarodowej. Natomiast skutki takich rządów ponosi cały naród. Tu mamy przykłady ceł nakładanych przez amerykańskiego prezydenta, które niekoniecznie przekładają się na dobrobyt mieszkańców Stanów Zjednoczonych. To samo jest w kwestii osłabiania sojuszy transatlantyckich czy wreszcie decyzji o rozpoczęciu wojny z Iranem, Tymczasem w przypadku parlamentarnych procesów decyzyjnych - są one nieco powolniejsze, ale są bardziej deliberatywne, pluralistyczne. Mogą sprawiać wrażenie mniej skutecznych, ale są też bardziej odporne na radykalizm, błędy.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Karol Nawrocki chce zmiany Konstytucji i zmiany systemu władzy - z parlamentarnego na prezydencki

Obowiązujący w Polsce system parlamentarny jest wprowadzony przez Konstytucję z 1997 roku. Wielu polityków dziś ustawy zasadniczej nie szanuje – jak wskazał choćby konstytucjonalista Ryszard Piotrowski. Ona jest aż tak zła?
Ja powiem inaczej – o tym, jaka jest konstytucja, decydują politycy i praktyka polityczna. Ta obecna praktyka pokazuje, że nasza Konstytucja jest na tyle nieprecyzyjna czy też niedoskonała, że istnieją skuteczne metody jej nadinterpretacji. Pytanie jest jednak otwarte - czy to jest wina konstytucji, czy samych polityków? Moim zdaniem nie ma regulacji prawnych, których nie dałoby się obejść. Wyobraźnia i pomysłowość polityków jest tu bardzo duża. Może znaleźć się ktoś, mający poważne poparcie społeczne, który, tak jak to powiedział nieżyjący już Kornel Morawiecki, powołując się na wolę narodu będzie mógł mówić, że jakiś przepis należy interpretować inaczej, niż go do tej pory interpretowano. Zatem ważniejsza od normy prawnej bywa wola polityczna. Tymczasem to wolę polityczną należy odnosić do norm prawnych. To fundament demokratycznych rządów prawa.

SYSTEMY PREZYDENCKIE SĄ CZĘSTO BARDZIEJ SKUTECZNE, TAK JAK WIDAĆ W TEJ CHWILI NA PRZYKŁADZIE DONALDA TRUMPA

Do swojej rady konstytucyjnej prezydent Karol Nawrocki powołał głównie osoby związane z PiS bezpośrednio lub z zapleczem tego ugrupowania.
Obecny skład, moim zdaniem, nie jest reprezentatywny dla całej panoramy politycznej w Polsce. Nie sądzę, żeby w takim gronie dało się wypracować projekt, który uzyska szerszy konsensus społeczny, polityczny.

Czy może to być kwestia bieżącej polityki? Ofensywy obozu prezydenckiego, np. po aferze z kryptowalutami, która w opinii obozu rządzącego ciąży pośrednio i na samym prezydencie?
Moim zdaniem kwestia jest nieco inna. Być może chodzi bardziej o ciągłe podważanie samej Konstytucji. W optyce prezydenta niewykluczone, że debatowanie nad samą, obowiązującą ustawą zasadniczą będzie sprawiało wrażenie, że coś jednak z nią jest nie tak. Niewykluczone, że prace rady konstytucyjnej przy prezydencie będzie podkreślać jej dysfunkcjonalność czy jej niedostosowanie do obecnych czasów. W gronie ekspertów tej rady z pewnością będzie to mocno akcentowane.

Przedstawiciele koalicji większościowej w parlamencie i rządu bagatelizują powołanie tej rady i sugerują mniej lub bardziej wymownie, że nie włączą się do tych prac. Premier Donald Tusk zasugerował wręcz prezydentowi przestrzeganie obecnej konstytucji.
To jest potwierdzenie tego, o czym mówiliśmy wcześniej, że jeżeli nie będzie woli politycznej, to żadna norma prawna nie będzie działać i nie będzie miała jakiejkolwiek mocy. Na pewno nasz obecny obecny system, który wymaga szerokiego konsensusu politycznego, deleguje wpływy, realną władzę większości konstytucyjnej. Obecny układ parlamentarny, czy społeczny, uniemożliwia tak naprawdę realizację projektu nowej konstytucji, pod auspicjami prezydenta Karola Nawrockiego.

Są opinie, że większość Polaków ma poglądy konserwatywne, więc zazwyczaj w wyborach prezydenckich zwycięża kandydat reprezentujący takie siły polityczne. W takim układzie system prezydencki służyłaby utrwaleniu władzy reprezentantów tej strony politycznej. Może i taki sposób można odczytywać zapowiedzi prezydenta.
Nie zgodzę się, że wygrywa zawsze kandydat konserwatywny. Dwie kadencje urząd prezydenta sprawował przecież Aleksander Kwaśniewski, wywodzący się z lewicowej partii. I nawet gdyby tę kwestię odnieść do ostatnich oraz poprzednich wyborów prezydenckich… Różnica między kandydatem konserwatywnym, prawicowym a liberalno-lewicowym była przecież niewielka. Mimo wszystko trudno jest mówić o zdecydowanej przewadze obywateli o poglądach konserwatywnych. To jest kwestia raczej chwilowych nastrojów niż stałych trendów.

eprasa.pl bcd09884b6

SAMSONOWICZ: POLSKI PRZEMYSŁ CZEKA NA PIENIĄDZE Z SAFE

– SAFE to ogromna szansa dla polskich firm zbrojeniowych oraz ich podwykonawców – mówi Maciej Samsonowicz, doradca wicepremiera i szefa MON, Władysława Kosiniaka-Kamysza

Tomasz Chudzyński



FOT. PAP/MARCIN OBARA

W piątek podpisano umowę dotyczącą SAFE. Podpisy złożyli przedstawiciele polskiego rządu i Komisji Europejskiej

Wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz wskazywał, że pierwsze środki z SAFE posłużą do finansowania systemu obrony przeciwdronowej.
Budujemy system antydronowy SAN. Polska Grupa Zbrojeniowa wraz ze swoimi spółkami zależnymi już pracuje i tym bardziej potrzebuje uruchomienia tych środków.
Na Pomorzu jednym z kluczowych partnerów realizujących program jest gdyńska firma APS Systems, która dostarczy nowoczesne radary do systemu SAN. Niezależnie od finansowania z programu SAFE spółka już rozpoczęła proces inwestycyjny w ramach Zielonego Okręgu Przemysłowego Kaszubia. APS prowadzi rekrutację pracowników oraz rozbudowuje moce produkcyjne, aby przygotować się do realizacji kontraktu na komponenty systemu SAN. To pokazuje ogromne zaufanie, jakim prywatne firmy darzą państwo polskie. Trudno o lepszą rekomendację dla programu SAFE niż zaufanie polskich przedsiębiorców

Kiedy kolejne transze SAFE trafią do Polski?
Komisja otworzy Polsce linię kredytową w wysokości 43,7 mld euro. Porozumienie będzie jasno określać tryb przekazywania pieniędzy i projekty, na które będą przeznaczane. Natomiast do końca maja MON, a dokładnie Agencja Uzbrojenia ma czas, żeby zawrzeć umowy z polskimi wykonawcami poszczególnych rodzajów sprzętu, który chcemy kupić. Zgodnie z założeniami programu SAFE obowiązuje dwunastomiesięczny okres, w którym możemy kupować za pieniądze z SAFE jako wyłącznie polską broń. Dotyczy to też mechanizmu refinansowania. Przystępujemy zatem teraz do zawierania umów. To jest bardzo duża szansa dla firm dzięki wynegocjowanym przez Polskę, preferencyjnych warunkach. Krótko mówiąc, sami możemy kupować u siebie za środki z SAFE.

Polityczne emocje wokół programu są nadal bardzo wyraźne. Przedstawiciele prawicy wciąż mówią, że SAFE to błąd powodujący potężne zadłużenie, a wypłaty będą uzależnione unijną warunkowością.
Największy problem polega na tym, że polityczne opinie o programie SAFE wygłaszają ludzie, którzy nie mają nic wspólnego z finansami. Zatem zaznaczę - instrument ten należałoby określić jako linię kredytową. Większość argumentów przeciw SAFE sprowadza się do tego, że spłaty rozłożone będą w wieloletniej perspektywie, co ma sprawiać, w opinii jego krytyków z PiS i Konfederacji, że program będzie wiele droższy. Tyle, że jest to dyskusja na poziomie szkoły podstawowej - czy trzy to jest więcej niż pięć albo czy pięć to jest mniej niż trzy? Opozycja próbuje dzisiaj przekonać, że to pięć to jest mniej niż trzy. To jest oczywiście absurd. Nie mamy dostępu do tańszego pieniądza niż ten, który organizuje Komisja Europejska w ramach SAFE. Pojawiają się również zarzuty dotyczące tzw. warunkowości programu. Tymczasem zasady obowiązujące w SAFE są identyczne jak w przypadku innych funduszy unijnych. Nie ma powodów do obaw o wstrzymanie wypłat, jeśli środki będą wydawane zgodnie z prawem i obowiązującymi procedurami. Reguły programu są takie same dla wszystkich państw, które do niego przystępują i podpisują umowy z Komisją Europejską. Polska opozycja pozostaje w tym sporze osamotniona na tle Europy - jako jedyna podważa sens programu SAFE. W praktyce oznacza to, że wraz z prezydentem mówi kilkunastu państwom Unii Europejskiej: „mylicie się". Mówi Francji, Hiszpanii, Finlandii, Belgii, Bułgarii, Węgrom i innym krajom, że nie potrafią liczyć i nie rozumieją dokumentów, które podpisują.

Padały także zarzuty, że unijna, wieloletnia pożyczka zagrozi polskiej suwerenności.
W programie SAFE nikt nam niczego nie narzuca, nie ma obowiązku korzystania z tego instrumentu. To linia kredytowa. Pytanie jest natomiast inne - czy w naszej sytuacji geopolitycznej, mamy taki komfort by do niego nie przystąpić? By się nie zbroić, nie wzmacniać naszego systemu odstraszania? To Rosja jest największym zagrożeniem dla naszej suwerenności, a nie UE. Natomiast jeśli ktoś chce funkcjonować w systemie europejskim, korzystać z finansowania europejskiego, a my, Polska, jesteśmy w Unii Europejskiej, to musi umieć poruszać się w mechanizmach Wspólnoty. Nie potrafi tego PiS, nie potrafi tego Konfederacja. Mają bardzo słabą pozycję w Europie. PiS nie było w stanie w czasie swoich rządów w Polsce opracować i przeforsować jakiegokolwiek wspólnotowego projektu. Można powiedzieć, że przez ten brak kompetencji miało postawę uległą wobec Komisji Europejskiej. Widać to choćby na przykładzie dotyczącym Mercosuru czy Zielonego Ładu, na które zgodził się Rząd Morawieckiego. Teraz trzeba to wszystko odkręcać. Polska współtworzy Unię Europejską. Jeśli jest finansowanie, które możemy wydać w polskim przemyśle zbrojeniowym, z koniecznością dostarczenia tego sprzętu do 2030 roku - to trzeba po nie sięgnąć. Nasi żołnierze potrzebują nowoczesnego sprzętu, a nasze polskie spółki potrzebują kontraktów. Dzięki linii kredytowej z SAFE nasza gospodarka, przemysł obronny, otrzyma olbrzymi impuls rozwojowy. Każda pożyczona w tym programie złotówka na siebie zapracuje.

Kolejny argument - SAFE „odpycha" nas od Stanów Zjednoczonych, bo nie kupimy amerykańskiego sprzętu wojskowego.
Jest dokładnie odwrotnie. Dzięki SAFE oszczędzimy pieniądze, które wydawać będziemy na sprzęt koreański czy amerykański, np. na kolejne samoloty F35. Natomiast jesteśmy w bardzo trudnej, międzynarodowej, rzeczywistości gdzie wojna na Bliskim Wschodzie sprawia, że w USA „nie ma niczego na półkach". Składając dziś zamówienie na nowy sprzęt musimy mieć świadomość, że terminy dostaw broni i uzbrojenia ze Stanów Zjednoczonych zaczynają sięgać lat 2040-45. My oczywiście kupować ten nowoczesny sprzęt z USA będziemy. Jednak równolegle musimy inwestować w rozwój naszego polskiego przemysłu. Musimy mieć nasze własne moce produkcyjne i zaplecze technologiczne tu u nas w Polsce.

Politycy Konfederacji wskazują, że wydajemy na wojsko bardzo dużo, tyle samo np. co Izrael. To czego potrzebujemy, to „racjonalne" wydatkowanie pieniędzy na obronność.
Wojsko Polskie się modernizuje, przezbraja i powiększa. Nie można porównywać budżetów MON różnych państw jeden to jednego, bez kontekstu zagrożeń, potrzeb. Natomiast warto przypomnieć, że kilka dni temu pan Mentzen wprost obraził generała Kukułę, szefa Sztabu Generalnego. My jako PSL zareagowaliśmy natychmiast w obronie munduru. Ale też z każdej strony politycznej debaty podniosły się głosy oburzenia. Jak się okazuje hasło „murem za polskim mundurem" nie ma barw politycznych. Jeśli lider Konfederacji obraża polskiego żołnierza, to słusznie spotyka się to z ostrą reakcją. Natomiast skoro pan Mentzen ma merytoryczne uwagi dotyczące kosztów, to powinien przede wszystkim zapoznać się z przedmiotem debaty, w sprawie której zabiera głos. Bo na przykład system antydronowy SAN, który będzie finansowany z SAFE, jest właśnie tym systemem, który gwałtownie obniży koszty obrony polskiego nieba. A to, że decyzja zakupowa zapadła w cztery miesiące od incydentu z rosyjskimi dronami potwierdza, że Polska potrafi pracować szybko i wybierać najlepsze na świecie i na rynku europejskim technologie.

REKLAMA 0111461412



eprasa.pl bcd09884b6

Polska
Poniedziałek, 11.05.2026

Znam Rosję, jak mało kto. Miałem tam rzeszę fanów i przyjaciół, ale kiedy cztery lata temu zapytałem ich, co myślą o Putinie, 70 proc. odpowiedziało, że miał rację, atakując Ukrainę

ZAMKNĄĆ PAWILON PRZED IMPERIUM

Jacek Pałkiewicz

Dlatego, jeśli ktoś mnie zapyta, czy wszyscy Rosjanie powinni poczuć ciężar tej sytuacji, odpowiem: niestety tak. Nie dlatego, że każdy z nich jest winny w tym samym stopniu. Nie dlatego, że odpowiedzialność moralna rozkłada się równo jak podatek. Ale dlatego, że społeczeństwo, które w większości milczy, popiera albo przystosowuje się do zbrodniczej polityki państwa, nie może oczekiwać, że świat będzie rozróżniał każdy odcień jego prywatnych uczuć. W czasie wojny paszport nie jest tylko dokumentem podróży. Jest również znakiem przynależności do państwa, które działa w czyimś imieniu.

To brzmi surowo. Sam czuję ciężar tych słów. Ale jeszcze cięższe są słowa ukraińskich matek, które nie wiedzą, gdzie pochowano ich synów. Cięższa jest cisza po rakiecie, która trafiła w blok mieszkalny. Cięższe są dzieci uczące się alfabetu w schronach. Wobec tego ciężaru dyskomfort rosyjskich elit kulturalnych naprawdę nie jest największym dramatem naszych czasów.

Nie należę do ludzi, którzy łatwo godzą się z zakazami. Przez całe życie bardziej interesowały mnie mosty niż mury, rozmowa niż bojkot, spotkanie niż demonstracyjne odwracanie głowy. Widziałem świat z bliska, z jego pyłem, śniegiem, potem i strachem. Wiem, że narody bywają czymś innym niż ich rządy, a pojedynczy człowiek często płaci za szaleństwo przywódców, których nigdy nie wybrał albo których bał się nie wybrać. Wiem też, że kultura była nieraz ostatnim językiem porozumienia wtedy, gdy dyplomaci już tylko trzaskali drzwiami.

A jednak są chwile, kiedy drzwi należy zatrzasnąć.

Rosyjski udział w Biennale w Wenecji nie jest dziś niewinnym wydarzeniem artystycznym. Nie jest neutralną obecnością malarza, performera czy kuratora na mapie światowej sztuki. Jest znakiem. A znaki, jak wiadomo, bywają groźniejsze od deklaracji. Wenecki pawilon Rosji, choćby wypełnić go najsubtelniejszą muzyką, najdelikatniejszym światłem i najbardziej metafizycznymi obrazami, stoi dziś w cieniu Buczy, Mariupola, Charkowa, Iziumu i tysięcy bezimiennych grobów. Tego cienia nie da się zasłonić białą ścianą galerii.

Od początku rosyjskiej pełnoskalowej agresji na Ukrainę kultura stała się jednym z narzędzi polityki Kremla. Nie zawsze prymitywnym, nie zawsze krzykliwym, często eleganckim, znakomicie opakowanym, gotowym do podania na europejskich salonach. Rosja od wieków potrafi mówić do Europy dwoma głosami. Jednym głosem cytuje Dostojewskiego, Czajkowskiego i Kandinsky'ego. Drugim głosem straszy, morduje, deportuje dzieci, bombarduje teatry, szpitale, elektrownie i bloki mieszkalne. Wielu Europejczyków, zwłaszcza tych żyjących daleko od rosyjskiej granicy, woli słuchać tylko pierwszego głosu. Jest on wygodniejszy, bardziej szlachetny, bardziej salonowy. Pozwala zachować dobre samopoczucie.

Ale Ukraińcy nie mają tego luksusu.

Dlatego protest przeciwko obecności Rosjan na Biennale był nie tylko zrozumiały. Był konieczny. Pussy Riot i FEMEN, pojawiające się przed rosyjskim pawilonem z kolorowym dymem i hasłami przeciw wojnie, zrobiły to, czego często brakuje instytucjom: nazwały rzecz po imieniu. Według relacji prasowych protestujący skandowali między innymi hasła wymierzone w rosyjską agresję, a sam pawilon stał się jednym z najgorętszych punktów tegorocznej wystawy. Nie dziwię się tej ostrości. W obliczu wojny uprzejme półsłówka bardzo szybko zamieniają się w współudział.

Ktoś powie: ale przecież artyści nie odpowiadają za Putina. Zgoda – nie wszyscy i nie zawsze. Wielu rosyjskich artystów zapłaciło wysoką cenę za sprzeciw wobec reżimu. Wielu wyjechało, wielu milczy ze strachu, wielu siedzi w więzieniach albo żyje na marginesie. Tylko że właśnie dlatego oficjalny pawilon Federacji Rosyjskiej nie jest ich schronieniem. Jest raczej ich przeciwieństwem. Gdyby Wenecja oddała głos rosyjskim dysydentom, więzionym, wygnanym, prześladowanym – można byłoby rozmawiać. Gdyby pawilon stał się oskarżeniem Kremla, a nie powrotem państwowej obecności Rosji na salony – sytuacja wyglądałaby inaczej. Ale oficjalne uczestnictwo państwa prowadzącego wojnę kolonialną nie jest gestem wolności sztuki. Jest gestem normalizacji.

A normalizacja jest dziś największym zwycięstwem, o jakie zabiega Moskwa.

Rosja nie potrzebuje, by Europa ją pokochała. Wystarczy, że Europa się zmęczy. Wystarczy, że zacznie mówić: „wojna wojną, ale kultura musi żyć"; „sankcje sankcjami, ale artyści są ponad polityką"; „nie można karać całego narodu"; „nie zamykajmy kanałów dialogu". Te zdania brzmią rozsądnie. Właśnie dlatego są niebezpieczne. Bo w ustach państwa-agresora stają się narzędziem rozbrajania sumień.

Nie chodzi o nienawiść do Rosjan. Nie chodzi o zemstę. Nie chodzi nawet o zbiorową karę rozumianą w prymitywnym sensie. Chodzi o prostą zasadę: państwo, które niszczy sąsiada, nie może w tym samym czasie korzystać z prestiżu wspólnoty, którą samo depcze. Nie może mieć czołgów pod Pokrowskiem i kieliszka prosecco w Wenecji. Nie może porywać ukraińskich dzieci i równocze-

MATERIAŁ INFORMACYJNY POLSKIEGO KONGRESU GOSPODARCZEGO 0011507983

Zbliża się największe wydarzenie biznesowe w Warszawie

Polska staje dziś przed najważniejszym pytaniem ekonomicznym ostatnich lat: jak utrzymać tempo rozwoju i zbudować trwałą przewagę gospodarczą? Decyzje, które mają przybliżyć odpowiedź na to pytanie, będą wykuwać się podczas Polskiego Kongresu Gospodarczego, który odbędzie się 28 maja w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.



Organizowany przez Pracodawcy RP oraz Fundację Pozytywnych Idei Kongres będzie największym wydarzeniem biznesowym w Warszawie. Organizatorzy spodziewają się dwóch tysięcy uczestników – przedstawicieli największych polskich firm, ekspertów, przedsiębiorców, inwestorów i przedstawicieli rządu.

– Polski Kongres Gospodarczy będzie największym wydarzeniem biznesowym w Warszawie. To spotkanie dwóch tysięcy liderów, którzy przyjadą nie po to, by prowadzić kolejne ogólne dyskusje, lecz by szukać realnych odpowiedzi na najważniejsze wyzwania stojące dziś przed polską gospodarką i przekuwać je w konkretne decyzje. Agenda Kongresu powstała w oparciu o rozmowy z setkami firm, dlatego odzwierciedla rzeczywiste potrzeby biznesu i realne wyzwania stojące przed Polską – podkreśla **Joanna Makowiecka-Gatza**, prezes Pracodawców RP.

Co w Programie?

Debaty Kongresu odbędą się w sześciu ścieżkach tematycznych: Geoekonomia, Ambicja, Odporność, Energia, Człowiek i Przyszłość. Program koncentruje się na kilku najważniejszych obszarach: roli Polski w zmieniającym się układzie gospodarczym świata, bezpieczeństwie energetycznym i kosztach energii, odporności państwa i biznesu na kryzysy oraz wpływie nowych technologii – w tym sztucznej inteligencji i danych – na konkurencyjność gospodarki.

Istotnym tematem stanie się wpływ transformacji energetycznej i polityki klimatycznej Unii Europejskiej na konkurencyjność polskich przedsiębiorstw.

Ważne miejsce w programie zajmą również debaty poświęcone technologiom i cyfrowej transformacji. Eksperci oraz przedstawiciele największych firm będą rozmawiać o wpływie sztucznej inteligencji na rynek pracy i modele biznesowe, rozwoju innowacji oraz wyzwaniach związanych z cyberbezpieczeństwem i ochroną danych. Organizatorzy podkreślają, że tempo zmian technologicznych wymaga dziś od przedsiębiorców szybkiego podejmowania decyzji i redefinicji strategii rozwoju.

Zwieńczeniem Kongresu będzie debata polityczna Biznes i polityka razem

– O sile tego wydarzenia najlepiej świadczy grono potwierdzonych gości. To osoby, które realnie wpływają na kształt polskiej gospodarki: liderzy największych firm i właściciele przedsiębiorstw oraz przedstawiciele rządu. W najbliższych dniach ogłosimy gościa specjalnego, którego wystąpienie otworzy debaty Kongresu – dodaje Joanna Makowiecka-Gatza.

W debatach udział wezmą liderzy największych polskich firm, w tym **Rafał Brzoska**, prezes InPostu; **Michał Sołowow**, właściciel Grupy Synthos; **Artur Białkowski,** prezes zarządu Medicover, **Adam Góral,** prezes Asseco Poland, **Luiz Hanania**, dyrektor generalny i prezes zarządu Grupy Veolia w Polsce; **Agnieszka Hipś,** prezes zarządu Clip Group.

W Kongresie udział swój zapowiedzieli również przedstawiciele rządu, m.in. **Władysław Kosiniak-Kamysz**, Wiceprezes Rady Ministrów i Minister Obrony Narodowej; **Krzysztof Gawkowski**, Wiceprezes Rady Ministrów i Minister Cyfryzacji; **Andrzej Domański**, Minister Gospodarki i Finansów, **Miłosz Motyka**, Minister Energii, **Jolanta Sobierańska-Grenda**, Minister Zdrowia, oraz **Tomasz Siemoniak**, Minister, Koordynator Służb Specjalnych.

Organizatorzy podkreślają, że Polski Kongres Gospodarczy ma być nie tylko przestrzenią do wymiany opinii, lecz przede wszystkim miejscem budowania realnych relacji pomiędzy sektorem publicznym i prywatnym. W obliczu globalnej rywalizacji o kapitał, technologie i bezpieczeństwo gospodarcze coraz większego znaczenia nabiera bowiem współpraca państwa, biznesu i nauki. Intensywna formuła Kongresu obejmuje rozmowy 1:1, wystąpienia keynote, 25- i 55-minutowe debaty. Obrady Kongresu zakończy panel dyskusyjny z udziałem wszystkich konstruktywnych sił politycznych. Rozmowa będzie dotyczyć strategicznych projektów dla rozwoju polskiej gospodarki, które wykraczają poza horyzont bieżących sporów politycznych.

eprasa.pl bcd09884b6



FOT. PAP/EPA

Przeciwko Rosji manifestowała grupa Pussy Riot

śnie opowiadać europejskiej publiczności o głębi rosyjskiej duszy. Nie może żądać prawa do obecności w cywilizowanym świecie, jeśli samo tę cywilizację rozstrzeliwuje na oczach wszystkich.

W tym sensie Biennale nie jest wyjątkiem. Jest testem. Takim samym testem były koncerty, turnieje sportowe, kongresy naukowe, festiwale filmowe i eleganckie konferencje, na których przez lata rosyjscy przedstawiciele uśmiechali się do kamer, podczas gdy ich państwo zatruwało przeciwników, okupowało Krym, bombardowało Syrię, a wreszcie ruszyło na Ukrainę z otwartą brutalnością. Zachód zbyt długo wierzył, że Rosję da się oswoić zaproszeniami. Że wystarczy jej podać rękę, sprzedać trochę technologii, kupić gaz, pokazać Luwr, La Scalę i Giardini w Wenecji, a sama stanie się bardziej europejska. Ta wiara skończyła się w piwnicach ukraińskich miast.

Reakcja Europy jest dziś spóźniona, nierówna, czasem niekonsekwentna, ale jednak wyraźniejsza niż dawniej. Sprzeciw wobec rosyjskiego pawilonu wyraziły Ukraina i jej sojusznicy, w tym Polska; pojawiły się także informacje o możliwych konsekwencjach finansowych ze strony Komisji Europejskiej i o podejrzeniach dotyczących naruszenia sankcji. Rezygnacja międzynarodowego jury w proteście przeciw obecności państw uwikłanych w poważne oskarżenia wojenne pokazała, że dla części środowiska artystycznego granica została przekroczona. To ważne, bo przez wiele lat świat kultury lubił mówić wielkimi słowami o odpowiedzialności, ale gdy przychodziło do realnych kosztów, wybierał wygodną neutralność.

Neutralność wobec agresji nie jest neutralnością. Jest komfortem obserwatora.

Oczywiście Biennale broni się argumentem proceduralnym: pawilony narodowe mają swoją historię, państwa mają swoje miejsca, regulaminy nie zawsze przewidują moralne trzęsienia ziemi. Organizatorzy podkreślali, że udział Rosji nie narusza sankcji i że instytucja nie chce wykluczać kultury. Rozumiem ten język. Jest językiem administracji, statutów, prawników i ludzi, którzy boją się precedensów. Ale wojna też jest precedensem. Masowe zbrodnie też są precedensem. Deportacje, niszczenie miast, codzienny terror rakietowy – to nie są okoliczności zwykłe, które można obsłużyć paragrafem o równości uczestników.

Gdy płonie dom sąsiada, nie dyskutuje się o symetrii dostępu do salonu.

Najbardziej fałszywy argument brzmi: „nie mieszajmy sztuki z polityką". Kto tak mówi, ten albo nie rozumie sztuki, albo udaje, że nie rozumie polityki. Pawilony narodowe na Biennale są z definicji polityczne. Flaga, państwo, komisarz, ministerstwo, finansowanie, dyplomatyczny prestiż – wszystko to jest polityką. Rosja doskonale wie, po co wraca do Wenecji. Nie po to, by zbawić sztukę. Po to, by wysłać komunikat: jesteśmy z powrotem, możecie protestować, ale i tak nas wpuściliście. To jest właśnie rosyjska metoda kruszenia oporu: nie frontalny atak, lecz stopniowe przyzwyczajanie Zachodu do własnej obecności. Najpierw pawilon, potem konferencja, potem koncert, potem bankiet, potem pytanie, czy sankcje naprawdę mają jeszcze sens.

Widziałem nieraz, jak imperium zaczyna od języka. Najpierw zmienia znaczenie słów. Agresja staje się „konfliktem". Ofiara i napastnik stają się „dwiema stronami". Propaganda staje się „inną perspektywą". Uległość staje się „dialogiem". A bojkot państwa-agresora – „cenzurą". To bardzo stara sztuczka, ale ciągle działa, bo ludzie kulturalni nie lubią brzydkich słów. Wolą mówić o napięciach, kontekstach i złożoności. Tymczasem są sytuacje, w których złożoność nie może zasłaniać elementarnego faktu: Rosja napadła na Ukrainę, a Ukraina ma prawo bronić swojego istnienia.

Europa powinna była powiedzieć jasno: rosyjski pawilon może wrócić wtedy, gdy Rosja wycofa wojska z Ukrainy, uzna odpowiedzialność za zbrodnie, wypłaci odszkodowania i uwolni więźniów politycznych. Wcześniej nie. To nie jest zamknięcie kultury. To jest obrona warunków, w których kultura w ogóle ma sens. Bo sztuka bez sumienia staje się dekoracją. A dekoracja ustawiona na ruinach jest obsceniczna.

Nie mam złudzeń, że jeden zamknięty pawilon zatrzyma wojnę. Putin nie wycofa armii dlatego, że w Wenecji zabraknie rosyjskiego performansu. Ale symbole mają znaczenie. Gdyby nie miały, Moskwa tak bardzo by o nie nie walczyła. Rosja rozumie prestiż. Rozumie obecność. Rozumie zdjęcie w katalogu, flagę przy wejściu, uprzejmy uścisk dłoni i milczenie zachodniego kuratora. Dlatego trzeba jej tego odmawiać. Konsekwentnie, spokojnie, bez histerii, ale stanowczo.

Niech rosyjscy artyści, którzy naprawdę sprzeciwiają się wojnie, występują jako wygnańcy, dysydenci, świadkowie, oskarżyciele własnego państwa. Niech Europa daje im schronienie, stypendia, sceny i mikrofony. Ale niech nie myli ich z oficjalną Rosją. Niech nie udaje, że pawilon państwowy jest prywatnym sumieniem artysty. Niech nie pozwala Kremlowi chować munduru pod płaszczem kultury.

Wenecja zna historię potęgi, handlu i upadku. Wie, jak pięknie może wyglądać miasto zbudowane na wodzie i jak łatwo wszystko, co piękne, zaczyna tonąć, gdy fundamenty miękną. Dziś takim fundamentem jest europejska wiarygodność. Jeśli mówimy, że stoimy po stronie Ukrainy, to musimy stać także wtedy, gdy cena jest niewygodna, gdy trzeba odmówić zaproszenia, stracić pieniądze, narazić się wpływowym środowiskom i popsuć elegancką atmosferę wernisażu.

Bo są wernisaże, na których nie wypada być.

Rosja powinna zobaczyć zamknięte drzwi nie dlatego, że Europa wyrzeka się kultury, lecz dlatego, że traktuje ją poważnie. Kultura nie jest przepustką dla barbarzyństwa. Nie jest wybielaczem dla zbrodni. Nie jest eleganckim parawanem, za którym można schować krew.

Dlatego w sporze o rosyjski pawilon w Wenecji jestem po stronie tych, którzy protestowali. Po stronie Ukraińców, którzy nie chcą, by ich cierpienie zamieniono w tło dla europejskiej debaty o wolności sztuki. Po stronie Rosjan, którzy naprawdę sprzeciwiają się imperium, a nie tych, którzy korzystają z jego paszportu, budżetu i prestiżu. Po stronie Europy, która jeszcze pamięta, że pokój bez zasad jest tylko przerwą między kapitulacjami.

Wenecja powinna była zamknąć ten pawilon. Nie z nienawiści. Z przyzwoitości.

MATERIAŁ INFORMACYJNY FUNDACJI ZIEMIA I LUDZIE 0011346482

PRAWDZIWE HISTORIE CZYSTEGO POWIETRZA

Dzięki dotacji zachowali rodzinny dom

Czyste Powietrze Jest OK

Pani Danuta z Ludziska (okolice Inowrocławia) odziedziczyła dom, który budował jeszcze jej dziadek. Budynek był zniszczony i od dawna wymagał generalnego remontu, a palenie w starym kopciuchu było już nawet niebezpieczne. Korzystając z programu Czyste Powietrze, wymieniła piec na nowoczesny kocioł na pellet. Teraz znów chce skorzystać z Czystego Powietrza – tym razem, by sfinansować ocieplenie budynku.

UWAGA, KONKURS!

Jesteś beneficjentem Czystego Powietrza?
Podziel się z nami swoją prawdziwą historią i przekonaj innych do inwestycji w zdrowie i ciepło.
Wejdź na czystepowietrzejestok.pl

Co miesiąc do wygrania hulajnoga elektryczna!

Pani Danuta całe życie mieszkała w domu wybudowanym jeszcze przez dziadka. Potem dom odziedziczyli jej rodzice, a po ich śmierci – ona sama. Mieszka w nim z mężem i dwoma synami. Niestety dom, który niszczał przez lata, wymagał generalnego remontu. Budynek jest nieocieplony, a w ścianach pojawiała się wilgoć.

– Sami nigdy nie dalibyśmy rady go wyremontować. Byliśmy bliscy decyzji o sprzedaży domu i kupnie mieszkania w mieście. Jednak to nie byłoby to samo – tu mamy przestrzeń, zieleń i ogród. Byłam zdeterminowana, żeby zostać w Ludzisku – mówi pani Danuta.

O włos od tragedii

Ogromnym wysiłkiem finansowym wymienili okna i drzwi na energooszczędne. Mieli nadzieję, że stary piec na drewno i węgiel jeszcze trochę popracuje, ale sprawił im przykrą niespodziankę.

– Piec stał w oddzielnym budynku gospodarczym, który jest połączony z domem. Okazało się, że się rozszczelnił i pewnego dnia woda się zagotowała, a piec stanął w ogniu. Nie pozwoliłam mężowi wejść do kotłowni. Piec piszczał, wszędzie było pełno dymu. Szybko zadzwoniłam po straż pożarną. Strażak powiedział mi potem, że gdyby mąż otworzył drzwiczki pieca, doszłoby do wybuchu. Mąż zginąłby na pewno! – opowiada.

Małżeństwo stanęło więc także przed koniecznością wymiany pieca. Jednak – jak wie każdy właściciel domu jednorodzinnego – to naprawdę spora inwestycja, a im oszczędności już się skończyły.

– Koleżanka z urzędu gminy opowiedziała mi o programie Czyste Powietrze. Pomogła wypełnić wniosek i go rozliczyć. Mieliśmy wtedy bardzo małe dochody i dostaliśmy około 70 proc. dotacji do nowego źródła ciepła, komina i całej instalacji. Zdecydowaliśmy się na piec na pellet – wyjaśnia pani Danuta.



Jaka więc powinna być kolejność prac?

1. PRACE TERMOIZOLACYJNE • stolarka okienna i drzwiowa • termoizolacja ścian zewnętrznych • termoizolacja dachu lub stropodachu • strop nad nieogrzewaną piwnicą, podłoga na gruncie.
2. INSTALACJE WEWNĘTRZNE • wentylacja mechaniczna z odzyskiem ciepła (rekuperacją) • modernizacja c.o. i c.w.u.
3. WYMIANA ŹRÓDŁA CIEPŁA I ZASTOSOWANIE OZE • wymiana kopciucha na energooszczędne i odnawialne źródła energetyczne, program Czyste Powietrze w obecnej edycji dopuszcza: pompy ciepła (Uwaga! wykorzystują energię elektryczną), kotły zgazowujące drewno, kotły na pellet drzewny, ogrzewanie elektryczne, np. kocioł elektryczny, maty grzewcze, podłączenie budynku do istniejącej sieci ciepłowniczej.

Paliwo naturalne i ekologiczne

Pellet przypomina kukurydziane chrupki. Ma 2–3 cm długości i kilka milimetrów średnicy. Produkuje się go z biomasy – odpadów drzewnych, uprawianych w tym celu roślin oraz odpadów i produktów ubocznych rolnictwa. Uwaga! W programie Czyste Powietrze dofinansowane są kotły na pellet drzewny. Pellet uznawany jest za paliwo ekologiczne (o ile jest odpowiednio certyfikowany) – spalany emituje bardzo mało dwutlenku węgla, zaś nowoczesne kotły pozwalają dodatkowo ograniczyć emisję pyłów, dwutlenku siarki i tlenków azotu o kilkadziesiąt procent w porównaniu do węgla.

– Nie ma już tego paskudnego osadu na szybach okien. Mamy poczucie, że oddychamy czystszym powietrzem i dokładamy swoją cegiełkę do ochrony środowiska – komentuje Ludziskowianka.

W tym roku znów zamierza skorzystać z programu Czyste Powietrze. Tym razem chce ocieplić dom.

– Sami nigdy byśmy tego budynku nie wyremontowali. A tak możemy mieszkać w moim rodzinnym domu, na wsi. Synowie mogą dorastać w bezpiecznym miejscu. Czuję też satysfakcję, że udało nam się przywrócić życie budynkowi, który od pokoleń należy do mojej rodziny – podsumowuje pani Danuta. Namawia też do skorzystania z programu sąsiadów, którzy przymierzają się do wymiany pieca czy termomodernizacji budynku.

Najpierw termomodernizacja, potem źródło ciepła

Pani Danuta, niestety, nie przeprowadziła prac w kolejności, jaką rekomenduje program Czyste Powietrze. Warto się do tej kolejności zastosować, bo zapewni to najbardziej efektywne ogrzewanie. Najwięcej ciepła z domu ucieka przez zewnętrzne ściany budynku, dach oraz okna i drzwi wejściowe. Najpierw tym się trzeba zająć, by zmniejszyć zapotrzebowanie domu na energię, a dopiero potem odpowiednio dobrać źródło ciepła. Takie działanie zapewni komfort cieplny i jednocześnie zmniejszy

Fundacja Ziemia i Ludzie
czyste powietrze zdrowy wybór
NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ŚRODOWISKA i GOSPODARKI WODNEJ

Niniejszy materiał został dofinansowany ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Za jego treść odpowiada wyłącznie Fundacja Ziemia i Ludzie.

eprasa.pl bcd09884b6

Polska
Poniedziałek, 11.05.2026

KACPER, KTÓRY ZASKOCZYŁ PATRYKA

Gdy miał 18 lat, wyprowadził się z domu. W wieku 19 lat założył fundację. Teraz ma 23 lata i cała Polska usłyszała o nim, gdy na poznańskim uniwersytecie starł się na słowa z europosłem Patrykiem Jakim. Kim jest Kacper Nowicki?

Leszek Waligóra

To na ty czy per pan?
Możemy na ty.

To jest taki pierwszy test. A drugi to pytanie, to co się teraz wokół Ciebie dzieje, to zaplanowane?
Właśnie kompletnie nie. I oczywiście nikt w to nie uwierzy.

No oczywiście.
Domysły zostawię wątpiącym, ale było tak: poszliśmy ze znajomymi na wykład pana Jakiego. Nawet się śmieję, że napisałem do dziekana Ossowskiego godzinę przed tym wydarzeniem, czy mogę wpaść i obiecałem mu, że nie będę robił dymu. Przyszedłem i wyszło, że trochę dymu zrobiłem. Nawet nie wiedziałem w danej chwili, że jestem nagrywany, tylko mój znajomy, który siedział w drugim rzędzie, to wszystko nagrał i wysłał mi zaraz potem. A ja mam taką przypadłość, że jak mi się wydaje, że coś zrobiłem dobrze, to to wrzucam na Instagrama. No i poszło.

Jesteś tam, gdzie chciałeś być?
Chyba tak. Sześć lat temu wyniosłem się z domu rodzinnego na Ratajach. Wychowałem się na Łazarzu, urodziłem się na Jeżycach i całe życie tu mieszkam. Zawsze chciałem być w Poznaniu i zawsze chciałem robić coś innego niż moi koledzy z klasy. Kiedy byłem w liceum, siedemnastym na Czecha, nauczyciele trochę się denerwowali, że mnie ciągle w szkole nie było. Bo byłem czy to w Młodzieżowej Radzie Miasta, czy gdzieś na protestach klimatycznych, czy na innych strajkach, a teraz dostaję dziesiątki wiadomości od moich nauczycieli z liceum, że oglądają i kibicują. Więc chyba zatoczyło się jakieś koło.

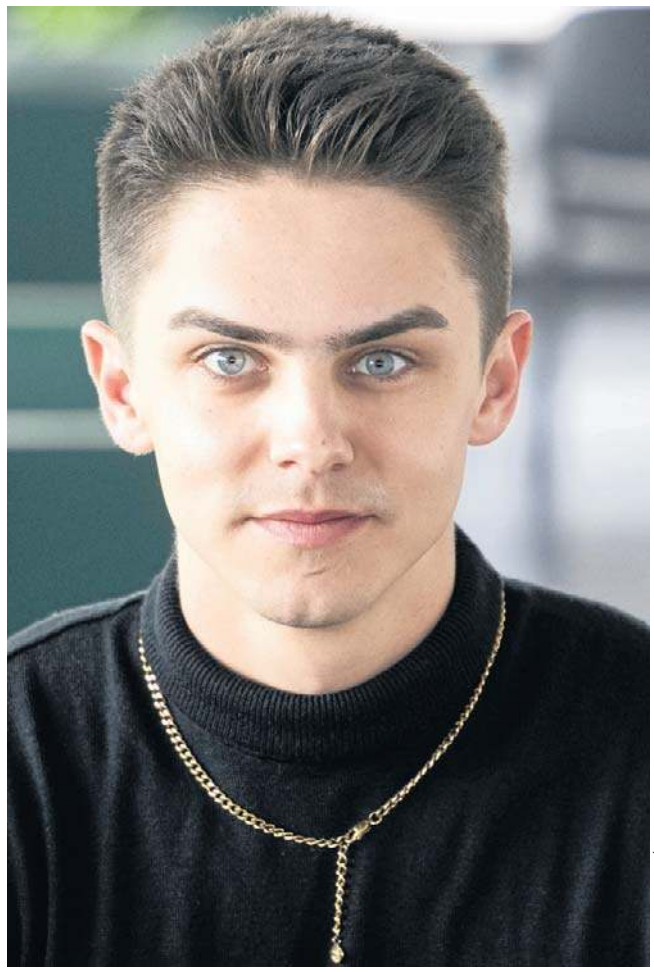
A o wyprowadzkę z domu można pytać?
Tak, można. Wychowywałem się w nie jakimś strasznie biednym domu czy w jakimś kosmicznie nieszczęśliwym, ale działa się tam i homofobia, i przemoc psychiczna, i fizyczna. I już we wczesnym wieku nastoletnim wiedziałem, że to się musi wydarzyć. To znaczy miałem na tyle dużo starszych znajomych, których szczęśliwe życia widziałem, że miałem świadomość nieuchronności zmian. Wiedziałem, że nie pociągnę tego dalej, a jeśli pociągnę, to się stanę taki jak oni, jakkolwiek to nie brzmi. Więc gdy miałem lat osiemnaście, zamknąłem za sobą drzwi otwierając nowy rozdział.

Myślisz, że w Polsce będziesz miał rodzinę? Oficjalnie?
Tak, myślę, że tak.

Czy to jest marzenie o innym kraju?
To nie jest marzenie. To jest żądanie. Ja płacę podatki. Pomimo że jestem całkiem młody i nie żyję w ogóle dzisiejszą nawalanką w tej sprawie, uważam, że minister Kierwiński i w ogóle część Platformy Obywatelskiej złamała kontrakt społeczny, który malowała przez osiem lat z ludźmi, którzy wynieśli ich do władzy.

A myślisz, że dojdą do władzy w ciągu dziesięciu lat tacy ludzie, którzy ten kontrakt nie tylko zawrą, ale i dopełnią?
Myślę, że dojdziemy w pewnym momencie do takiej sytuacji, w którym ten kocioł zabierania ludziom podstawowych praw i to nie tylko osobom LGBT, ale też kobietom, ale też przede wszystkim młodym ludziom, dojdzie do takiego momentu, w którym ten system się rozleci. Myślę, że będziemy mieli taki czas, gdzie przez indolencję ludzi kierujących Platformą, dojdzie do władzy skrajna prawica i z tego się wyłoni coś nowego. Takie mam przekonanie, bo wszystkie ruchy, próby wyrwania Platformie tych wyborców, którzy mają jakieś wyższe aspiracje niż ciepła woda w kranie, się nie udawały, bo ten strach w ogóle nie był na horyzoncie.

Na razie sondaże pokazują, że realnym następcą Platformy jest prawica. Która będzie raczej jeszcze bardziej ciągnęła w drugą stronę.



FOT. ROBERT WOŹNIAK

Na lewicy każdy lubi sobie wręczać order z ziemniaka prawdziwego lewaka. A jak się rozmawia z prawicą, to przynajmniej wiesz, gdzie stoisz – twierdzi Kacper Nowicki

Lubię oglądać stare klipy telewizyjne i czytać stare artykuły. Donald Tusk powiedział, że związki partnerskie to jest temat do zajęcia się po wyborach. Ten cytat pochodzi bodajże z 2010 roku. Z drugiej strony znam historię walki o prawa człowieka w Polsce i to zazwyczaj bywało tak, że te prawa się wywalczało. Uważam, że cały ten system jest trochę za miękki. Na przykład, dlaczego pod biurami PSL-u nie ma protestów. A mamy europosła PSL-u w Poznaniu, mamy posła PSL w Poznaniu, tego samego, który paradę równości nazywał spędem zoofilii i pedofilii. Dlaczego tam nie ma zamieszek?

A może dlatego, że to nie jest najważniejszy temat dla Polski?
Może dla wielu osób tak, ale dla osób, które przez lata PiS-u o to walczyły, a teraz mam wrażenie, że gdzieś się zamotały. Środowisko równościowe trochę za bardzo poszło w wieczny festiwal, a za mało w robienie państwa. Nie bronię rządu w tym zakresie, bo to jest absolutna indolencja i skandal, że dalej nie mamy związków partnerskich i mamy problem z transkrypcją ślubów zawieranych za granicą. Natomiast jak robię sektor pozarządowy, to staram się wprowadzić jakąkolwiek zmianę w prawie, bo prawo to jest to, co napędza każdy kolejny sektor. I tak przykładowo w prawach uczniowskich od półtora roku próbuję przeforsować ustawę w tej sprawie. Jest ona obecnie w trakcie pierwszego czytania w Sejmie. A nie mam poczucia, że środowiska równościowe wstają rano z przekonaniem, że pierwsze co należy robić, to politykę. Tylko że celem jest trochę bardziej widoczność, afirmacja i jakieś takie rzeczy bardziej… bardziej festiwalowe. To mi trochę nie pasuje, ale też nie jestem w pozycji do robienia im uwag, bo kim ja jestem? (…)

W społeczeństwie nie ma jakiegoś większego oporu przeciwko związkom jednopłciowym, ale mam wrażenie, że dzieci z rodzin jednopłciowych po prostu w tym kraju, w tym społeczeństwie będą miały ciężkie życie.
Ale one mają ciężkie życie. Ich jest w Polsce pięćdziesiąt tysięcy. Jest pięćdziesiąt tysięcy tęczowych rodzin w Polsce. Osobiście znam pary, które wychowują dzieci. Powiem więcej, znam ludzi, którzy są osobami publicznymi, którzy nie mówią o tym, że są częścią tego.

Ale nie mogą ich adoptować?
Tak, ale bardzo często mają dzieci biologiczne z poprzednich związków lub surogacji. I to nie jest problem, który się pojawił, tylko on już jest. I to znowu nie jest historia o wielkiej lewicowej ideologii, tylko o tym, że trzeba dzieciaka zawieźć do dentysty, albo że trzeba iść na wywiadówkę do szkoły. I to też jest bardzo źle opowiadane przez polityków po każdej ze stron.

Zawsze skrajnie.
Jak mówisz ludziom, którzy mają semikonserwatywne poglądy, ale tak naprawdę…

Że dwóch gejów będzie miało chłopca i na pewno go będą molestować i zamienią w geja?
Pomimo że absolutna większość przypadków przemocy domowej w Polsce jest w parach dwupłciowych, a półtora miliona dzieci wychowuje się w „parach" jednopłciowych, czyli mama i babcia. Natomiast za mało jest w tej historii opowieści o bardzo podstawowych potrzebach ludzi i o bezpieczeństwie. O tym, że trzeba po prostu funkcjonować jako rodzina. Są adopcje przeprowadzane za granicą, których potem Polska nagle nie chce uznawać, co jest jakimś absurdem. No i potem mamy takie absurdy, że ludzie, którzy krzyczeli na manifestacjach konstytucja i praworządność, tak jak pan Kierwiński, nie uznają tego, że WSA w Lublinie czy NSA w Warszawie wydało takie konkretne wyroki i należałoby je respektować.

A myślisz, że jak prawo się zmieni, to też mentalność ludzi się zmieni?
Oczywiście, że tak. W Zachodniej Europie tak było, kiedy związki partnerskie wprowadzano w Irlandii, w Holandii, Hiszpanii, w Niemczech, ale też na Węgrzech. Na Węgrzech mamy związki partnerskie! Kiedy tam wprowadzano te przepisy, masa ludzi protestowała, po czym po dwóch tygodniach nikt o tym nie pamiętał. **(…)**

Wracamy do Kacpra Nowickiego. Po filmie, na którym zaczepiasz posła Patryka Jakiego, który zawojował Polskę, niektóre media udowadniają, kim jest albo kim nie jest Kacper Nowicki, który w Poznaniu postacią anonimową nie jest, ale w Polsce taką był. Pytanie musi paść więc… kto stoi za Kacprem Nowickim?
Za Kacprem Nowickim stoi pięćdziesiąt osób w zespole jego fundacji. Za Kacprem Nowickim stoi stowarzyszenie, w którym jest, czyli Stowarzyszenie Wspólne Jutro. Stoi masa osób o lewicowych i nie tylko lewicowych poglądach. **(…)**

To kto stoi finansowo za Kacprem Nowickim? Człowiekiem, który w wieku osiemnastu lat idzie na swoje. Jakim cudem? Wielu ludzi nie opuszcza domu rodzinnego, mając czterdzieści lat na karku, bo ich na to nie stać. Zakłada fundację w wieku dziewiętnastu lat. Fakt, że jak przejrzałem Wasze sprawozdanie, jedyne sprawozdanie fi-

eprasa.pl bcd09884b6

nansowe wiszące na stronie, to tam milionów nie ma, ale jednak jakieś pieniądze są, więc natychmiast pojawiają się skojarzenia typu: Soros...
Publicznie mówię o tym, gdzie w życiu pracowałem. Gdy wyniosłem się z domu, pracowałem na infolinii InPostu, Lux Medu, różnych firm nieruchomościowych. Pracowałem w restauracjach, pracowałem w kuchni, w restauracjach jako kelner i bardzo długo wykonywałem zwykłą pracę fizyczną. Pracowałem nawet na magazynach Zary pod Poznaniem i dopiero w momencie, w którym zostałem asystentem Krzysztofa Śmiszka, miałem okazję popracować bardziej umysłowo niż fizycznie. I to oczywiście nie jest typowa ścieżka nastolatka w Polsce. Chciałbym mieć bardzo wielkich sponsorów, ale nigdy takich nie było. My jako fundacja oczywiście pozyskiwaliśmy granty z bardzo różnych źródeł, kiedyś nawet z miasta, później z Unii Europejskiej. Tych milionów tam nie ma, bo one też nam nigdy nie były potrzebne, bo duża część pracy, którą my wykonywaliśmy, zawsze była po prostu pracą naszą, wolontariacką.**(...)**

Dokąd pójdzie Kacper?
To zabrzmi śmiesznie, ale trochę tam, gdzie go ludzie zaprowadzą. Plan jest bardzo prosty. Bardzo wiele rzeczy medialnych i politycznych, które robimy, wychodzi. I tu nie ma ściemy. Startowałem do rady miasta bezskutecznie, chociaż podwoiłem wynik dwójki na tej liście z poprzednich wyborów. Traktowałem to jako przetarcie się. Zawsze mam raczej tak, że te propozycje do mnie przychodzą i widzę teraz, że oczywiście po tym wzmożeniu medialnym mam bardzo wielu kolegów, którzy nagle mają dla mnie różne propozycje. Mam bardzo spokojną głowę. I o tyle nie mam parcia na to, co muszę teraz zrobić, że mam dwadzieścia trzy lata a podczas wyborów parlamentarnych, będę miał dwadzieścia pięć. Gdy będą kolejne – dwadzieścia dziewięć, później trzydzieści trzy – widząc, jak wygląda polska scena polityczna, ja jeszcze za siedem kadencji Sejmu będę nazywany siłą młodego pokolenia. **(...)**

A nie przeszkadza Ci to, że w socjaldemokracji pierwsze skrzypce grają ludzie w wieku, powiedzmy, mocno dojrzałym, którym można ciągle wyciągnąć ten argument, że byli aparatczykami PZPR-u, PRL-u?
Tylko pytanie, jaką mamy alternatywę? Bo mnie bardzo wiele rzeczy nie pasuje, po każdej stronie sceny politycznej, też po tej lewej. Każdą partią polityczną rządzą albo mentalne dziady, albo ludzie pokolenia moich dziadków.

Albo idealiści.
Albo idealiści, którym wystarczy słuszność moralna. I mnie nie pasuje słuszność moralna. To powód, dla którego ja na przykład nie jestem członkiem partii Razem.

Do tego właśnie piłem.
I dlatego w mediach społecznościowych zajmuję się głównie zmienianiem świadomości ludzi. Ale polityki nie robi się na Instagramie. Polityka oznacza osiąganie większości czy w jakimś ciele samorządowym, a następnie zmienianie prawa i dystrybucję środków.

Ale dzisiaj tę większość , a nawet szansę na wybór osiąga się dzięki social mediom.
Ale to jest narzędzie. A jeżeli dla kogoś jest to jedyną aktywnością polityczną? Czego dokonał Adrian Zandberg przez jedenaście lat w polityce? Niczego. Adrian Zandberg był przez dwie kadencje posłem, miał masę słuszności moralnej w tym, że nie będzie z tymi, z tymi, z tamtymi i z tamtymi kolaborował. Najpierw przez sześć, siedem lat mówił, że nie będzie debatował ze skrajną prawicą, bo to coś, co śmierdzi. Po czym zaczął z nią debatować notorycznie. Oczywiście rozumiem jego zarzuty do obecnego rządu i nawet ideowo je podzielam. Tylko co z tego? Od kolejnej konferencji prasowej mówiącej o sitwie i o tym, że jest strasznie nic się nie zmienia. **(...)**

Twoją dyskusję z europosłem PiS Patrykiem Jakim większość ludzi zna z przekazu instagramowego. Potem się pojawia przekaz Jakiego, który mówi, że wyglądało to trochę inaczej. Potem pojawiają się kolejne przekazy mediów związanych z Patrykiem Jakim, które mówią, że Kacper Nowicki to nie jest postać anonimowa, tylko człowiek… Różnie Ciebie tam nazywano. Pupilem…
Oskarkiem.

A na końcu pada zarzut, że to wszystko było zmanipulowane. Trudno być sędzią we własnej sprawie. Wiele osób Ciebie teraz hołubi za ten film. A jak było naprawdę? Czy możesz powiedzieć, że Patryk Jaki ma odpowiedź na Twoje zarzuty, bo on twierdzi, że ma.
Dyskutowałem z panem Patrykiem półtorej godziny na Placu Krakowskim w Gliwicach i jako, że ja nie mogę być sędzią we własnej sprawie, to zachęcam do obejrzenia tego filmu. To jest na profilach pana Jakiego. Cały, bez montażu, bez żadnych potencjalnych manipulacji z żadnej ze stron. I proszę po prostu to obejrzeć i wyciągnąć wnioski, ocenić mnie, ocenić pana Patryka, ocenić moją dyskusję z nim o Unii Europejskiej, o praworządności, o Konstytucji, o tych mitycznych dwustu pięćdziesięciu sześciu płciach, których nigdzie poza profilami pana Patryka nie ma. Proszę ją po prostu obejrzeć, bo oczywiście w świecie social mediów wszystko działa tak, że liczy się pierwsze trzydzieści sekund i logiczne jest, że nie będę wrzucał na Instagrama półtoragodzinnej polemiki z panem Jakim. **(...)**

Wśród młodzieży przeważają teraz prawicowe poglądy.
Na pewno nie w Poznaniu, ale Poznań jest w ogóle ewenementem. To jedyny powiat w Polsce, w którym Zandberg miał wyższy wynik w wyborach prezydenckich niż Mentzen. I to mi się wydaje, że jest dość istotne rozróżnienie Poznania od Polski.
Ale z prawicowcami paradoksalnie rozmawia się prościej niż z niektórymi lewicowcami.
Na lewicy każdy lubi sobie wręczać order z ziemniaka prawdziwego lewaka. A jak się rozmawia z prawicą, to przynajmniej wiesz, gdzie stoisz. Możesz się spierać co do pewnych rzeczy fundamentalnych, ale nie spierasz się o pierdoły. Prawda jest taka, że pomiędzy Nową Lewicą, Joanną Senyszyn, Partią Razem, PPS-em czy nawet Zielonymi spory światopoglądowe są minimalne, marginalne. Mają wszyscy w dziewięćdziesięciu procentach ten sam program. Różnica polega na tym, że Nowa Lewica po części stara się ten program realizować w rządzie, a Partia Razem dalej o nim krzyczy w opozycji. Natomiast najgorzej, jak spór przestaje być o sprawie, a zaczyna być o tym, kto gdzie był pięćdziesiąt lat temu, kto się jak nazywa. **(...)**

Czy ten medialny szum jakoś skonsumujesz?
Pytamy o przyszły rok. W przyszłym roku są wybory parlamentarne. Czuję, że w Poznaniu nie ma żadnego charyzmatycznego lidera po lewej stronie, który byłby w stanie pociągnąć ludzi do urn. Ja się absolutnie od niczego nie uchylam. Jeżeli dostanę jakąkolwiek propozycję kandydowania do Sejmu, to ją bardzo chętnie rozważę. Tylko jednocześnie wiem, jak funkcjonuje ten system. Ten system nie działa tak, że ja powiem: „Dzień dobry, kandyduję dzisiaj z partii Kacpra Nowickiego do Sejmu. Na liście jest Kacper Nowicki. Proszę na mnie zagłosować". Nie. System działa tak, że muszę wystartować z listy partyjnej. Znam historię ludzi, którzy na przykład poszli na współpracę z Koalicją Obywatelską.

Czy Kacper Nowicki będzie Frankiem Sterczewskim?
Nie będę drugim Frankiem Sterczewskim, bo uważam, że Platforma Obywatelska wykorzystała Franka, nie bez udziału jego świadomości. Platforma potrzebowała skonsumować jego i tysięcy innych ludzi sukces tzw. łańcuchów światła. Jednocześnie oczywiste było, że Franek nie ma poglądów politycznych zgodnych z Platformą Obywatelską. Wiemy też chyba już po tych ośmiu latach, że to nie były najbardziej produktywne kadencje poselskie w jego wykonaniu. Na początku naprawdę miał pewne ideały i naprawdę widziałem, że z nimi szedł do tego Sejmu. Przemielił go system wyborczy i przemielił go system partyjny. I dlatego, jak przyszło do wyborów w 2023, to ta sama Platforma Obywatelska, która go tak wielbiła w 2019, zepchnęła go na środek listy, żeby go pogrzebać. I to nie jest polityka, która mnie interesuje. Polityką, która mnie interesuje, jest startowanie z partii reprezentującej twoje poglądy, osiąganie poparcia społecznego, a następnie budowanie swojego kapitału politycznego na rzeczach, które się robi. Moim największym marzeniem jest to, żeby powstał duży lewicowy blok na przyszłe wybory. Uważam, że absolutnym marnotrawstwem głosów, w Poznaniu nawet, byłoby to, gdyby były dwa komitety lewicowe, czyli osobno startowałaby Lewica, osobno Razem. To byłoby zwykłe marnotrawstwo, bo w Poznaniu partia Razem może mieć nawet wyższe poparcie niż Nowa Lewica,ale jeżeli w skali kraju zrobi 4,8% i skończy pod progiem, to kilkadziesiąt tysięcy lewicowych głosów w Poznaniu znowu przepadnie. Już widziałem dostatecznie dużo premierów z tabletu, posłów z TikToka i prezydentów z wywiadów w gazecie. I jestem bardzo ostrożny co do tego, czy to od deklaracji tego, że się chce gdzieś wystartować, powinno się zaczynać.
Ja zaczynam od tego, że mam w tym momencie pięćdziesiąt osób w moim poznańskim HUBie stowarzyszeniau Wspólne Jutro w Poznaniu. Podobną liczbę osób, działaczy na rzecz praw człowieka i prawników w mam mojej fundacji w Poznaniu. Mam setki ludzi, którzy namawiają mnie w Poznaniu do tego, o co pan redaktor pyta i skala tego, jak wiele ludzi do mnie nawet na ulicy podchodzi i prosi mnie o to, żebym wystartował faktycznie jest zastanawiająca. (...)

To spotkanie, można powiedzieć, w świadomości wielu ludzi, zrobiło z Ciebie polityka.
Ja się też od tego nie uchylam. Tylko najpierw chciałbym dowieźć poparcie społeczne. Widzę, że jakieś mam w tym momencie. Jednocześnie wiem, jak działa ten system mediów społecznościowych, o którym rozmawialiśmy. To znaczy, że to zainteresowanie mną za jakieś dwa tygodnie zniknie.

Wiemy, że nawet w ramach struktur samorządowych to działa jak dobrze zaprojektowana maszyna, w której za politykiem chodzi jedna, dwie, trzy osoby z tego urzędu albo z firm zewnętrznych, fotografują go, filmują i on wyskakuje z Facebooka, z Instagrama, z YouTube'a, z TikToka, z lodówki niedługo zacznie wyskakiwać, mimo że nie mamy kampanii wyborczej. To jest maszyna, która ma dowieść popularność do kampanii wyborczej.
Ja nie mam tej maszyny. Jak zobaczymy, kto za mną chodzi, kto za mną stoi, to, to są moi przyjaciele. Na spotkaniu pana Jakiego nagrywał mnie mój znajomy. Wszystkie zdjęcia, których używam też do komunikacji, tego, co mam do powiedzenia, zrobili mi moi przyjaciele. Nagrania filmów, które publikuję w mediach społecznościowych, robię moim telefonem, bardzo często u siebie w sypialni. Więc to nie jest tak, że za mną stoi jakaś wielka firma PR-owa. I też nie uważam, że politykę się powinno w ogóle robić w ten sposób. To jest kompletny bezsens.
Są tacy politycy jak Marcin Gołek, który zaczął swoją działalność od noszenia teczki za Jackiem Jaśkowiakiem. Potem został wiceszefem PIM-u i zarabiał tam prawie bańkę rocznie, a teraz jest pupilkiem Urzędu Miasta i wszyscy urzędnicy pracują na to, żeby został delfinem pana prezydenta. No i to jest polityk, w którym faktycznie możemy tą maszynę zauważyć. Ja jestem milion lat świetlnych od tego i brzydzą mnie takie metody.

A wiesz, że jeżeli zadrzesz z Urzędem Miasta, będziesz miał trudniej?
Ale ja z nimi zadzieram od wielu lat. Przecież wielokrotnie wchodziłem w spory z urzędem. Teraz walczę o rowery miejskie.

Z nadzieją na sukces?
Tak. To jest tylko rada miasta. Przestałem się bać tych organów. Mam w tym momencie więcej podpisów pod inicjatywą przywrócenia roweru miejskiego niż większość tych radnych dostało głosów w wyborach samorządowych. Niech się zgodzą lub nie zgodzą, ale niech muszą się określić. Wcześniej walczyłem o przystanki autobusowe i tramwajowe, które chciałem ponumerować. Jak miałem osiemnaście lat, to usmażyłem to jajecznicę na Rynku Łazarskim, czym doprowadziłem do szału ówczesnego wiceprezydenta Wiśniewskiego. Pan Jacek Jaśkowiak dwa dni po wyborach samorządowych w „Gazecie Wyborczej" powiedział, że cieszy się, że się nie dostałem do rady miasta, bo krytykowałem to, co on robi. Część mojej kampanii samorządowej była oparta na bezsensownym wydawaniu pieniędzy na media samorządowe, spółki miejskie i bezsensowną promocję w mediach. Zadzieram z nimi, trzymając się tej reguły od wielu lat. Nie wysłali mi jeszcze głowy konia jak w „Ojcu chrzestnym", próbowali mnie wielokrotnie zdyskredytować, ale najwyraźniej okazuje się, że ludzie nie wierzą w to, co mówi władza na temat osób, które robią rzeczy społeczne. Ludzie czują fałsz.

(...) Przeprowadzono z Tobą w ostatnim czasie wiele wywiadów. Czy jest pytanie, którego Ci nie zadano, a na które bardzo liczysz?
Jest jedno, które mi zadano, ale na które nie odpowiedziałem poprawnie.

To masz szansę.
Co ja robię poza tym wszystkim. Bo to jest tak, że ja się od zawsze interesuję polityką. Od zawsze. Jest takie zdjęcie jak mam trzy latka i siedzę przed telewizorem i oglądam TVN24. Niemniej bardzo staram się oddzielić to życie publiczne, które jest obecnie bardzo intensywne od życia prywatnego. I to, na czym zacząłem się łapać, to że te pierwsze lata dorosłości przeleciały mi właśnie na takich rzeczach jak numerowanie przystanków, robienie Młodzieżowej Rady Miasta, fundacji prawnouczniowskiej i tego typu rzeczy. I chyba chciałbym też trochę zainwestować w życie prywatne, bo ta polityka się może każdego dnia skończyć. I masa polityków się kończy z dnia na dzień, a zostaje to, co się ma prywatnego i chyba w to muszę trochę pójść w najbliższym czasie.

Czyli kiedy mówisz o zakładaniu rodziny, nie jest to hasło wyborcze?
Nie, absolutnie. Ja po prostu chciałbym mieć rodzinę. To też jest taka ciekawa zmiana pokoleniowa, bo kiedy moi rodzice byli w moim obecnym wieku, to ja szedłem do przedszkola, a ja w tym momencie, nie mówiąc już nawet o dzieciach, to nie mam nawet partnera. Mam wielu przyjaciół, ale absolutnie moje życie nie jest na kursie do zbudowania sobie spokojnej rodziny w tym momencie. Więc tak, to jest gdzieś na horyzoncie.

Z drugiej strony ja mam do czynienia z wieloma osobami w przededniu trzydziestki i tam jest wręcz niechęć do zakładania rodziny.
To jest chyba przekorność taka, z którą idę przez życie. Bo jakby spytać większość osób w tym kraju, czy ja powinienem mieć normalną rodzinę, to powiedzieliby, że nie.

W Twoim imieniu?
Tak, oczywiście, jako osoba, która pewnie miałaby dzieci z drugim facetem. Ale ja mam dość konserwatywne poglądy, jeżeli chodzi o kwestie rodzinne. To znaczy jestem Polakiem, płacę podatki. Rodzina jest podstawową komórką społeczną. Fajnie by było mieć kiedyś po prostu męża, dzieci, psa, dom i święty spokój. Zobaczę czy to ten kurs obiorę, czy życie mi się trochę inaczej potoczy.

eprasa.pl bcd09884b6

Polska
Poniedziałek, 11.05.2026

– Zawsze przed porodem dokładnie ustalam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie – mówi Alina Gabrel-Kamińska z Białegostoku, fotografka porodowa

Urszula Śleszyńska

SFOTOGRAFOWAŁA JUŻ 30 PORODÓW I PRZY KAŻDYM MOCNO SIĘ WZRUSZA

Poród to bardzo intymny moment w życiu zarówno kobiety, jak i całej rodziny. Jak to się stało, że zaczęłaś w tę intymność wchodzić z aparatem?
To było 10 lat temu, w 2016 roku, ponad rok po porodzie mojego drugiego dziecka. Miałam depresję poporodową, problemy z karmieniem, więc szukałam wsparcia na kręgach kobiet. Robiłam zdjęcia na tych spotkaniach. Później zaczęłam też fotografować kobiety karmiące i jedna z mam, która była w pierwszej ciąży, spytała się, czy bym zrobiła reportaż z jej porodu. Od razu się zgodziłam. I od razu wsiąkłam w tę tematykę. To był poród domowy, podczas którego płakałam jak bóbr, razem z rodzicami. Miałam bardzo trudne warunki, bo była noc i tylko kilka świeczek. Rodzice nie wyrazili zgody na publikację tych zdjęć, więc nie mogłam się pochwalić, że byłam przy porodzie. Ale te emocje, ta adrenalina, te endorfiny – tego nie da się porównać do niczego innego.

Ile porodów już sfotografowałaś?
Około trzydziestu.

Nie jesteś jedyną fotografką porodową w Polsce.
Kiedy zaczynałam 10 lat temu, było nas może trzy osoby, w tym jeden mężczyzna. Dziś w Polsce jest coraz więcej fotografek i fotografów porodowych.

Myślisz, że kobietom jest łatwiej fotografować porody niż mężczyznom?
Tak, wydaje mi się, że kobietom jest łatwiej. Poród to bardzo intymny moment. Ja zawsze przed porodem dokładnie ustalam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie. I myślę, że łatwiej jest zrobić takie zdjęcie mi, czyli kobiecie, która też już rodziła, niż mężczyźnie. Mój pierwszy osobisty poród był naturalny, a drugi – za pomocą cesarskiego cięcia, więc mam różnorodne doświadczenia i myślę, że dzięki temu jest mi łatwiej.



FOT. MAGDALENA WŁASZEK

– Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno narodzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś takiego, co warto zatrzymywać w pamięci – mówi Alina Gabrel-Kamińska

Kiedy podczas porodu najczęściej naciskasz spust migawki?
Trudno znaleźć konkretne momenty. Naciskam spust, kiedy czuję, że te kadry opowiedzą całą historię narodzin. Często fotografuję mało oczywiste detale, jak kosmyk włosów spadający na czoło, splecione dłonie rodziców…

Fotografia porodowa to chyba najintymniejsza z istniejących dziedzin fotografii?
Myślę, że tak. Ale wiem, że są też tacy, którzy robią jeszcze bardziej intymną, na przykład zdjęcia w trakcie… poczęcia.

Czy zdarza się, że przygotowująca się do porodu kobieta bardzo chce mieć fotograficzny zapis tego najważniejszego w jej życiu wydarzenia, a jej mąż czy też partner nie chce?
Tak się zdarza. Bywa, że mężczyzna się nie zgadza, bo uważa, że to zbyt intymne. Albo też nie zgadza się na robienie zdjęć w trakcie porodu, bo się boi, że zostaną na nich pokazane jego ogromne emocje. Ja w takich sytuacjach nigdy nikogo nie namawiam, bo to jest ich poród i to musi być ich wspólna decyzja. Ale przede wszystkim musi być zgoda kobiety, bo to jest jej ciało i jej przestrzeń.

Podczas porodów domowych kobieta i mężczyzna wpuszczają cię do swojej prywatnej przestrzeni i tam, w takiej intymnej atmosferze, z pewnością łatwiej jest fotografować poród niż w szpitalu?
To jest przepaść. Porody domowe to dużo większa swoboda dla rodziców, ale i dużo większa swoboda dla mnie. W domu rodzącą kobietę otaczają bliscy, rodzina i każdy, kogo rodząca zaprosi. Kiedyś tak właśnie wyglądały porody, że była obecna cała rodzina, tworzono krąg kobiet. I ten poród domowy to jest taki powrót do tych więzi, do wspólnoty, na swoich warunkach. Jest pełna swoboda – rodząca kobieta może chodzić, ruszać się, wyjść nawet na spacer czy też zjeść coś, na co akurat ma ochotę. A w klinice raczej nie jest to możliwe.

W robieniu zdjęć podczas porodów domowych zapewne pomaga ci to, że pracujesz zazwyczaj ze sprawdzonymi położnymi, które dobrze znasz?
Tak. To działa w obie strony. Czasem podpowiedzą, w którą stronę układa się główka dziecka podczas porodu, żebym ją sfotografowała. Ja z kolei mogę podać im coś, czego potrzebują.

Czy bywa, że w szpitalach trafiasz na opór – że rodzice bardzo chcą mieć zdjęciowy reportaż z porodu, ale personel szpitalny nie chce?
Tak. Uzyskanie zgody jest największym wyzwaniem. W jednym ze szpitali uzyskałam zgodę dopiero po bardzo długim staraniu, a w drugim – odmowę. Próbowałam różnymi metodami. To był bardzo długi proces. Myślę, że wiele osób z medycznego środowiska nie ma świadomości, że dla innych poród to nie tylko medyczne procedury, ale również relacje, emocje… Brak zgody na obecność doświadczonego fotografa odbiera rodzicom możliwość zatrzymania w kadrach tak ważnej historii. Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno narodzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś, co warto zatrzymywać w pamięci. Kiedyś pani anestezjolog, obecna przy porodzie, zapytała mnie: co pani tu fotografuje? Powiedziałam, że wszystko: relacje, dotyk, nie tylko te czysto medyczne sytuacje. Widać było, że troszkę zrozumiała, ale nie do końca (śmiech). Jeden z lekarzy ginekologów też mnie kiedyś zapytał, co ja chcę fotografować. Przecież tutaj nic nie ma! Krocze pani będzie fotografować? – dziwił się. Pokazałam mu reportaże z porodu domowego i z kliniki. Zobaczył różne momenty, które dzieją się pomiędzy medycznymi procedurami – bliskość, napięcie, emocje, jak tata trzyma mamę za rękę, ale też uchwycony moment, kiedy wszyscy się śmieją, jedzą. I w końcu jak przytulają dziecko.

I jak zareagował?
Powiedział: Teraz wiem, co pani chce fotografować.
Po czym zapytał: A jak jest podczas porodu z cesarką? Co pani pokazuje? Odpowiedziałam, że pokazuję pewne elementy procedur medycznych, ale to też jest coś, dzięki czemu kobiety się uczą, oswajają strach, bo widzą, jak to wygląda. Widzą, że to nie jest tak, jak się większości wydaje, że to prosty zabieg. To jest poważna operacja, ale też są przy tym bardzo duże emocje. Fotografuję i mamę, i personel – jeżeli się zgodzi. Te porody – naturalny i za pomocą cesarskiego cięcia – różnią się przede wszystkim szybkością. Bo emocje podczas jednego i drugiego są tak samo duże.

Jednak fotografowanie cesarki jest chyba dużo trudniejsze?
Jest trudniejsze technicznie, bo na sali operacyjnej mogę stać tylko w jednym miejscu i nie wolno mi niczego dotykać – mam więc bardzo ograniczone pole manewru. Jeżeli postawią mnie w miejscu, gdzie nie będę miała dobrego

eprasa.pl bcd09884b6



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA/ BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

Zdjęcia Aliny Gabrel-Kamińskiej wykonane podczas porodów domowych. Jedna z fotografii – „Released" (powyżej) – zdobyła nagrodę Silver Award oraz Members' Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP

widoku - to nie zrobię tego, co bym chciała. Ale na razie widzę otwartość w klinice, w której mogę robić porodowe zdjęcia, więc to mnie cieszy. Rozcięcie powłok brzusznych czy wyciąganie dziecka - w emocjach i w kadrach to jest coś pięknego. Na zdjęciach już widać twarz dziecka i to poczucie, że mama zobaczy ją dopiero za chwilę... Maluszka pokazują jej tylko przez moment, dają do pocałowania i zabierają. Ja też wtedy idę na pierwsze spotkanie taty z dzieckiem, kiedy może je zobaczyć i przytulić.

Wspomniałaś o wielkich emocjach rodziców, którym rodzi się dziecko. Ale chciałam też zapytać o twoje emocje - czy łzy u ciebie nadal się pojawiają?
Już mniej, ale przy każdym porodzie mocno się wzruszam. Przy pierwszym porodzie bardzo płakałam, razem z rodzicami. Chłonę te ich emocje, ale staram się też zatrzymywać kadry, fotografować, jak rodzice płaczą. Jakbym sama się rozkleiła, to w ogóle żadnych zdjęć bym nie zrobiła (śmiech).

Ostatnio jedna z twoich porodowych fotografii - „Released" - zdobyła Silver Award oraz Members' Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP.
Pierwszy raz wysłałam zdjęcia na taki stricte porodowy konkurs. Moja nagroda to dyplom International Association of Professional Birth Photographers. To największe międzynarodowe stowarzyszenie fotografów porodowych z siedzibą w Australii. Moje zdjęcie nagrodzono srebrnym laurem w kategorii Delivery oraz Members' Choice Award, które są przyznawane w głosowaniu przez profesjonalne fotografki porodowe z całego świata! Te zdjęcia pochodzą z przepięknego porodu, który miałam okazję fotografować w listopadzie 2025 roku. Mama zgodziła się na publikację tych zdjęć. To był już jej czwarty poród i był wspaniały.

Spotkałaś się wcześniej z tą rodziną, aby omówić zdjęcia?
No właśnie nie. Zazwyczaj umawiam się z rodzicami dużo wcześniej i czekam na telefon z informacją, że poród się rozpoczął, ale na ten poród nie miałam fotograficznego zlecenia. To był trochę inny przypadek. Moja znajoma miała kręcić film na zaliczenie do szkoły o tym, jak się pracuje przy porodach. Byłam tym podekscytowana, tylko musiałam znaleźć rodzącą mamę. Wiedziałam, że do szpitala czy też kliniki nie wpuszczą kolejnej osoby, więc taki poród od razu odpadał. Jednak dzięki zaprzyjaźnionej położnej, która przyjmuje porody domowe, udało mi się znaleźć mamę, której zbliżał się termin porodu. Powiedziałam, że zrobię zdjęcia bez wynagrodzenia, a rodząca mama będzie miała na pamiątkę i zdjęcia, i film. Tylko warunek jest taki, że zgodzi się na publikację. Zgodziła się. Przed porodem rozmawiałyśmy przez telefon, wszystko ustaliłyśmy i kiedy już dostałam sygnał, że poród się zaczął, zadzwoniłam od razu do tej dziewczyny od filmu. Okazało się jednak, że ją to przerosło i nie zdecydowała się jechać na poród. Byłam na nią zła, ale sama pojechałam. Było już ciemno. Usłyszałam, że w jednym z domów płacze dziecko. Pomyślałam, że się spóźniłam. Na szczęście okazało się, że to płakało starsze dziecko. Weszłam tam zestresowana, patrzę - a mama stoi uśmiechnięta i rozmawiają z położną. To był długi, ale i piękny poród. Było dużo śmiechu, a to nagrodzone potem zdjęcie powstało już pod koniec. Asia rodziła bardzo długo, bo skurcze zaczęły się dużo wcześniej. Ja byłam tam koło godziny 20, a ona urodziła po 6 rano i była wykończona. Była tak zmęczona, że nie dała rady stać na nogach - mąż ją trzymał. To nagrodzone zdjęcie wykonałam w momencie, kiedy Asia poczuła już ulgę i mogła odpocząć z tym małym dzieckiem na piersi.

Co jest najpiękniejsze w fotografii porodowej?
Wszystko. To oczekiwanie, te emocje. Nawet nie sam moment porodu, chociaż on jest kulminacyjny. Piękne jest to, jak się to wszystko rozwija. Piękna jest mama, która - mimo że jest jej bardzo trudno - to ma ogromną siłę i robi wszystko, by jej dziecko przyszło na świat. Piękny jest tata, który ją wspiera, a gdy widzi swoje dziecko po raz pierwszy, to płacze. Piękne jest to, że kobiety później mogą zobaczyć na zdjęciach, jak bliscy je wspierali. Nie umiem tego słowami opisywać. Mogę to pokazać na zdjęciach.

Zdarzają się też pewnie trudne chwile?
To te, kiedy nie możesz pomóc... Kiedy widać, że rodzącą mamę bardzo boli, a ja nie mogę nic zrobić. Mogę jedynie trzymać ją za rękę. Co też robię. Czasem więc odkładam aparat i po prostu jestem obok. Trzymam za rękę lub masuję plecy.

eprasa.pl bcd09884b6

Polska
Poniedziałek, 11.05.2026

KULTOWE SMAKI TORUNIA. RECEPTURY NIEZMIENNE OD DEKAD

Jak smakuje Toruń? Nie tylko piernikiem, jak wyobrażają sobie nierzadko turyści. Na gastronomicznej mapie miasta jest kilka lokali, które Torunianie nazywają kultowymi. Działają od 30, 40, a nawet 75 lat nieprzerwanie. Tradycyjnych receptur nie zmieniają, a często wręcz reklamują się „smakami PRL-u”

Małgorzata Oberlan

W Toruniu padł kolejny rekord. W minionym sezonie miasto odwiedziło aż 2,7 miliona turystów – o 8,6 proc. więcej niż rok wcześniej. Toruń ma apetyt na więcej i liczy, że bieżący sezon będzie jeszcze lepszy.

A na co apetyt mają turyści? Coraz częściej chcą przez kulinarne wybory lepiej poznać historię miasta i jego prawdziwy klimat. I owszem, jest wiele topowych restauracji godnych polecenia, z kuchnią najwyższej próby. Jeśli jednak ktoś chce naprawdę poczuć na języku kultowe smaki Torunia, niech ruszy z nami na wędrówkę pod siedem adresów.

To często małe i niepozorne lokale, ale działające nieprzerwanie od dekad i tworzące charakter miasta. Dla Torunian wręcz kultowe.

Zapiekanki u pani Eli na Wielkich Garbarach. Te same od 44 lat

Mała gastronomia „Zapiekanki” przy ul. Wielkie Garbary na starówce to... wielka sprawa. Malutki lokal ze skromnym wystrojem od 44 lat serwuje zapiekanki i hot-dogi. Obecnie prowadzi go Elżbieta Kus, a wcześniej jej mąż. Przed nim natomiast cały interes rozkręcała teściowa pani Eli.

– Jaka ze mnie „pani”! Mów mi na „ty” – poprawia mnie wciąż pani Elżbieta, którą odwiedzam w majowy weekend. Jest zmęczona, bo ruch kolejny dzień niesamowity, ale poczucia humoru nie traci – jak zawsze. To także od lat doceniają tutaj klienci. Trudno stąd szybko wyjść, bo zawsze można pożartować, pogadać o życiu i o Polsce.

Zapiekanki i hot-dogi od ponad czterech dekad przygotowuje się tutaj według tych samych sprawdzonych receptur. Prosto, tradycyjnie – z samodzielnie robionym farszem, bez wydziwiania, na dobrych bułach, a nie jakichś dmuchanych francuskich półbagietkach. Ceny? Przystępne – od 20 do dwudziestu kilku złotych za specjał, który nie tylko przenosi w czasie do PRL-u, ale i syci. Popić zapiekankę można – a jakże! – oranżadą ze szklanej butelki lub wodą „Krystynką”. Przysiąść w lokalu lub przy jednym stoliczku na zewnątrz. Albo, starym sposobem, konsumować na stojąco lub spacerując. „Zapraszamy na smaki PRL-u” – takim hasłem ten lokal kusi na ulicznej tablicy. Z tego, co kiedyś było „obciachem”, zrobił swój atut.

O przywiązaniu Torunian do tego lokalu najlepiej chyba świadczy sytuacja z okresu pandemii. Lokal wówczas okresowo bywał zamknięty. Pogłoski o tym, że „Zapiekanki” znikną z mapy Torunia, wywołały wręcz coś na kształt ogólnej histerii. Potem lokal znalazł się w kryzysie także po drastycznych podwyżkach cen prądu i innych mediów. Wszystkie kryzysy jednak zażegnano i biznes się kręci.

Bar „Pod Arkadami” działa od 75 lat. A przy nim kultowe okienko

Ten bar działa nieprzerwanie od 1950 r. Przez lata lokal „Pod Arkadami” upodobali sobie nie tylko mieszkańcy, ale i turyści, bo jest świetnie położony: w samym centrum, na rogu ulic, blisko ratusza i pomnika Kopernika (to ważne punkty orientacyjne dla tych, którzy są w mieście pierwszy raz). Nigdy nie było tu drogo i tak pozostało. Zawsze było „jak u mamy” i to również się nie zmieniło. Jeśli ktoś ma ochotę na żelazny zestaw typu „pomidorowa, schabowy z surówką i ziemniakami plus kompot” od lat się nie zawiedzie.

Od dekad działa tutaj też słynne „okienko pod Arkadami” należące do baru. Serwowane tu zapiekanki, gofry czy lody dla wielu nie mają sobie równych. – To są klasyczne wersje, a smak ten sam od tylu lat – chwalą klienci sentymentalni. Dla wielu to, że frykasy mają sznyt PRL-owski, to podstawowa zaleta.

Z okienkiem związana jest też od blisko 30 lat pani Anna – zawsze uśmiechnięta blondynka, dla której czas się zatrzymał. Zresztą, i w okienku, i w samym barze ekipa jest bardzo sympatyczna, co także bardzo cenią klienci.

Ponad trzy dekady baru „Panda”. Sławny schaboszczak

Torunianie „Pandę” przy ul. Mickiewicza znają doskonale. Ten skromny z wyglądu bar działa na Bydgoskim Przedmieściu już od 33 lat. I niezmiennie, od dekad, karmi po domowemu. Doceniają to nie tylko studenci, ale i setki innych osób. Prowadzi go lubiana przez klientów Hanna Fialkowska wraz z mężem.

Latem 2023 r. o „Pandzie” dowiedziała się cała Polska. To za sprawą popularnego vlogera, który odwiedził bar, zamówił schabowego, a potem rozpływał się w komplementach. Ogłosił wszem i wobec (a tzw. zasięgi MrKryha ma potężne), że „Panda” w Toruniu serwuje nie tylko wyśmienitego, ale i najtańszego schabowego w kraju. – I to wszystko jest wciąż aktualne – zapewnia dziś Hanna Fiałkowska.

Naprawdę solidnych rozmiarów schaboszczak („grubo ponad 100 gramów”) wraz z ziemniakami (lub frytkami do wyboru) oraz surówką kosztuje tutaj zaledwie 21 zł i 70 gr. Amatorów tego zestawu nie brakuje. – Robimy zatem na bieżąco, zawsze jest świeży – podkreśla pani Hanna.

Oprócz tego bar serwuje też inne tradycyjne zupy i drugie dania obiadowe, np. wątróbkę czy kiełbasę w zestawach. Wystrój jest tu „jak z PRL-u”, zastawa, smaki i wonie – także. I jak to się teraz gościom podoba!

„Jest klimat PRL. Duże porcje, pyszne zupy, świetna wątróbka. Do pełni szczęścia brakuje mi tylko starej oranżady w butelkach, ale to, jak kto lubi. Dla mnie wspaniałe miejsce. Smaki dzieciństwa” – komentuje w sieci pan Zbigniew.

„Ten bar to miejsce magiczne, nostalgiczne i to jego wielka zaleta. Takich barów w Polsce jest już jak na lekarstwo. Jeśli ktoś chce zobaczyć, jak się jadło w latach 80. i 90., to polecam gorąco. Klimat nie do podrobienia. Jedzenie pyszne, frytki jak u mamy w domu, schabowy jak kiedyś. Ceny bardziej niż przystępne. Wrócę tu bezapelacyjnie, niech będzie jak najdłużej na polskiej mapie barów” – życzy sobie i innym pan Maciej, internetowy recenzent.

Pizzeria „Piccolo” – polska pizza i barszczyk takie same od 36 lat

Czy może mieć wielki sukces pizzeria, która w karcie ma tylko jeden jej rodzaj? Tak, to możliwe! Mowa o pizzerii „Piccolo” przy ul. Prostej na starówce. To kolejny z tych punktów na gastronomicznej mapie Torunia, gdzie drzwi się nie zamykają. Pizza i barszczyk są takie same od 1992 r., czyli od 36 lat.

W menu jest tak zwana „polska pizza” – na puszystym cieście, z dużą ilością pieczarek i serem. Do niej klient wybrać może keczup, sos majonezowy lub czosnkowy. Obowiązkowo goście też zamawiają barszczyk – tym zestawem lokal robi furorę od ponad trzech dekad.

– Zawsze tutaj wracamy, będąc w Toruniu. Każdemu polecamy. Nie dość, że pysznie, to jeszcze niedrogo. Obsługa bardzo sympatyczna – zachwalają klienci.

Wiele entuzjastycznych recenzji usłyszeć można „na żywo” od tłumnie w sezonie odwiedzających pizzerię gości, ale i przeczytać w internecie. Klienci chwalą smak, który jest pewniakiem o lat. Wielu przywodzi na myśl lata młodości czy nawet dzieciństwa.

Tylko największym maruderom przeszkadza, że czasem



FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Bar „Pod Arkadami” – mały lokal z domowymi obiadami – działa na starówce od 75 lat. Przy nim okienko z goframi, lodami i zapiekankami. Pani Anna związana jest z nim od około 30 lat



FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Bar „Panda” – tutaj też nikt PRL-owskiego sznytu się nie wstydzi. Lokal działa od 33 lat. Hanna Fiałkowska wraz z mężem serwują m.in. „najtańszego schabowego w Polsce”

eprasa.pl bcd09884b6

na stoliku znajdą ślady sosu czy serwetki. Większość gości dobrze wie, że przez ten niewielki lokal przewijają się codziennie dziesiątki klientów, więc obsługa bardzo się stara. A ceny są przystępne.

„Gospoda Pod Modrym Fartuchem" – wątróbka, golonka i schabowy kuszą od lat

„W rogu Rynku Nowomiejskiego przy ul. Ślusarskiej stoi barokowa kamienica mieszcząca najstarszą do dziś czynną toruńską gospodę. Według tradycji została ona założona w 1489 r. przez rodzinę Szalitów. Niektórzy mówią jednak, że wybudowano ją 5 lat wcześniej, bo miał być w niej właśnie sam król Kazimierz Jagiellończyk, a on w Toruniu był ostatni raz w 1485 r. Bywał tu wraz z synami, późniejszymi królami polskimi Janem Olbrachtem i Aleksandrem. W roku 1807 gospodę ponoć odwiedził również cesarz Napoleon Bonaparte. Gospoda słynęła z dobrych miodów, węgrzyna i piwa" - czytamy na portalu Toruńskiego Serwisu Turystycznego.

Tyle historii zamierzchłej w największym skrócie. Historia najnowsza „Gospody Pod Modrym Fartuchem" natomiast to czasy PRL-u, kiedy ludzie przychodzili tutaj m.in. na kultową już wątróbkę z cebulką, przemiany w latach wczesnego kapitalizmu oraz podtrzymywanie tradycyjnych receptur w XXI wieku. A także wielki kryzys i widmo plajty wskutek koronawirusowej pandemii.

Kiedy w 2021 r. najstarsza karczma w Toruniu, a także jedna z najstarszych tego typu w kraju i Europie ogłosiła, że prawdopodobnie musi zamknąć drzwi na zawsze, z pomocą pospieszyły jej setki ludzi. Pandemia zabrała jej klientów i dochody, tarcza antykryzysowa okazała się w jej przypadku dziurawa, a zobowiązania i długi rosły. Ale wierni klienci nie zawiedli.

„Przetrwała wojny i zabory, przetrwała PRL, a ma ją pokonać pandemia?! Nie ma na to zgody" - stwierdzili sympatycy najstarszej gospody w Polsce. Zbiórkę pieniędzy na portalu Zrzutka.pl wsparło blisko 400 darczyńców, wpłacając łącznie ponad 22 000 zł. Pieniądze przeznaczono na opłacenie ZUS-u pracowników, czynszu i mediów, zaciągniętych pożyczek. Na wysokości zadania stanęli też wtedy sami restauratorzy, którzy postawili na wyrób domowych przysmaków (chleba, smalcu i innych) i sprzedaż ich przez internet.

A dziś? Gospoda kolejny już rok przyciąga rzesze amatorów tradycyjnej, polskiej kuchni i dobrych napitków. Co oczywiste, w sezonie najchętniej chyba odwiedzają ją turyści, ale i „lokalsi" lubią tutaj wracać. Sztandarowe dania to wspominana wątróbka, golonka oraz kotlet schabowy w wersji XXL. Nadal w ofercie są też ulubione zupy z żurkiem na czele. Menu jest jednak zdecydowanie szersze i miłośnicy polskiej tradycji nigdy stąd rozczarowani nie wychodzą.

Lody od Lenkiewicza – nie zna miasta, kto ich nie spróbuje

„Wcale już nie taka wielka gałka", „Nie ten smak, co kiedyś", „Przereklamowane" - tak lubią co roku, na starcie każdego nowego sezonu lodowego, ponarzekać Torunianie. Ale, rzecz jasna, nie odmawiają sobie przyjemności sprawdzenia aktualnej oferty, wielkości „gały" oraz jej ceny. A wszystkie kawiarnie i cukiernie działające pod marką „Lenkiewicz" w Toruniu są oblegane.

I prawda jest taka, że kto „lodów od Lenka" nie spróbuje, ten toruńskiego klimatu latem nie poczuje. Dziś „Lenkiewicz" to niezwykle silna marka i kilka lokali w różnych punktach Torunia. Najstarszy jednak jest ten przy Wielkich Garbarach. W roku 1950 nestor rodu, Stanisław Lenkiewicz, kupił tutaj kamienicę pod nr. 14. Najpierw była to piekarnia. W 1960 r. zmienił profil działalności na cukierniczy i wtedy też wprowadził do oferty lody. Tak to się zaczęło...

Dziś biznes prowadzi już kolejne pokolenie. Receptury lodów, sposób ich wytwarzania oraz gama smaków na przestrzeni ponad 60 lat - to oczywiste - zmieniały się. Od wielu lat jednak receptura jest podobna, a jakość niezmiennie najwyższa - tak przynajmniej zapewniają właściciele.

Od zawsze też gałka lodów od Lenkiewicza jest naprawdę duża. Tak było 20 lat temu, tak jest teraz i wszyscy mają nadzieję, że tak pozostanie. Na samej starówce lody można kupić przy wspomnianej ul. Wielkie Garbary 14 i na Rynku Staromiejskim 33/34. Ale marka ma swoje lokale już także w różnych innych rejonach miasta.

Na domowe zupy do „Małgośki". Ten bar czynny jest od ponad 60 lat

Działający od ponad 60 lat bar „Małgośka" przy ul. Szczytnej to młodsza siostra baru „Pod Arkadami", o którym poszemy na wstępie. To zdecydowanie większy lokal, z szerszą ofertą, ale z identycznymi zasadami. Oba bary prowadzone są przez „Społem" Gastronomiczno-Turystyczną Spółdzielnię Spożywców w Toruniu". To gwarantuje stabilność zatrudnienia m.in. paniom kucharkom - wiele przepracowało tu całe swoje zawodowe życie.

Od tych najstarszych lokali gastronomicznych w Toruniu, co zrozumiałe, najwięcej się wymaga. Co jakiś czas pojawiają się utyskiwania, że „to już nie ta sama Małgośka co kiedyś, bo podrożało" albo krytyczne głosy na temat sprawności obsługi, zmienionego smaku jakiejś zupy czy wielkości porcji. Nie zmienia to jednak faktu, że szczególnie w sezonie letnim bary są oblegane. Domowy sposób gotowania nie zmienia się.

Co „Małgośka" ma w ofercie w 2026 roku? Cały czas, jak przed laty, zjemy tu tradycyjne zupy, mięsne i jarskie drugie dania obiadowe oraz surówki. Jednorazowo lokal może przyjąć nawet 150 osób, więc często pojawiają się tutaj całe zorganizowane grupy turystów. Ale bynajmniej nie tylko oni! Nie brakuje miejscowych albo ludzi kiedyś w Toruniu mieszkających, którzy z sentymentu co jakiś czas do „Małgośki" przynajmniej na ulubioną zupę lubią zajrzeć.

- No i poczuć ten klimat PRL-u. Bo w barze, mimo remontów i drobnych zmian, to czas się jednak zatrzymał. Te lady, stoliki, wazoniki, serwetki, talerze... Takich miejsc naprawdę nie ma już w kraju wiele. Pojawiają się nowe knajpy, które stylizują się na PRL, ale „Małgośka" nikogo nie udaje, nie naśladuje - podsumowuje pani Dorota z Torunia, lubiąca zajrzeć na Szczytną od... trzydziestu lat.



FOT. FACEBOOK

Golonka, ale też wątróbka i wielki schabowy to sztandarowe dania „Gospody Pod Modrym Fartuchem". To jedna z najstarszych tego typu karczem w Europie



FOT. FACEBOOK

Żurek i inne zupy, placki ziemniaczane, pierogi, tradycyjne drugie dania obiadowe – to nadal w swojej ofercie ma społemowski bar „Małgośka". Działa od ponad 60 lat



FOT. MMAŁGORZATA OBERLAN

Zapiekanki przy ul. Wielkie Garbary zapraszają na „smaki PRL-u" od ponad 40 lat. Lokal prowadzi Elżbieta Kus. Na zdjęciu z zapiekanką pani Agnieszka, która pomagała w sprzedaży przez majowy weekend



FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Pizzeria „Piccolo" od 36 lat serwuje ten sam kultowy zestaw: polską pizzę na grubym cieście i barszczyk



FOT. MMAŁGORZATA OBERLAN

Lody od Lenkiewicza od dekad przyciągają tłumy. Tu kawiarnia przy ul. Wielkie Garbary

eprasa.pl bcd09884b6

PISANIE BYWA TROCHĘ JAK PRZEKLEŃSTWO. PO PROSTU MUSISZ TO ROBIĆ

Nie Kaszuby, lecz pozostające w ich cieniu Kociewie stało się dla niej źródłem wytchnienia i literackich inspiracji. Tam, pośród rodzinnych wspomnień i lokalnych wierzeń, Karolina Głogowska odnalazła historie, które dziś przyniosły jej nominację do Grand Prix konkursu Kryminalna Warszawa

Maja Czech

Gratuluję nominacji do Grand Prix Kryminalna Warszawa! Jak zareagowałaś na tę wiadomość?
Jestem bardzo zaskoczona i pod ogromnym wrażeniem. Nie dlatego, że ta seria zasługuje nie na taką nagrodę, tylko dlatego, że doskonale wiem, jak trudno jest przebić się do tego kryminalnego mainstreamu. Wydaję książki od 2018 roku. „Usypianka" to moja dziewiąta książka i druga z cyklu kociewskiego. Od początku publikuję w dużych wydawnictwach, nie był to self-publishing, a mimo to widzę, jak trudno nawet regularnie piszącemu autorowi zaistnieć wśród największych nazwisk. W gronie nominowanych są przecież takie nazwiska jak Siembieda, Ćwiek, Sobczak czy Puzyńska. Część z tych osób znam, bardzo im kibicuję, mamy koleżeńskie relacje, ale świadomość, że moje nazwisko znalazło się obok nich, to dla mnie naprawdę ogromne wyróżnienie.

To chyba dowód na to, że w pisaniu liczy się przede wszystkim wytrwałość?
Zdecydowanie. Sama dziś dużo uczę ludzi pisania i widzę, jak bardzo frustruje ich to, że wydają książkę, a ona od razu nie staje się bestsellerem. A przecież jeśli ktoś chce być pisarzem, to musi traktować to jak pracę i pasję na całe życie. Jeśli nie ma się takiego założenia, to naprawdę trudno wytrwać. Często mówi się, że jedną książkę może napisać każdy. I ja się z tym zgadzam. Każdy coś przeżył, każdy ma jakąś historię. Pytanie brzmi: czy będziesz pisać dalej, nawet jeśli przez długi czas będziesz mieć wrażenie, że piszesz w pustkę? Kiedy zaczynałam, marzyłam tylko o tym, żeby przeczytała mnie choć jedna osoba i żeby tej jednej osobie spodobało się to, co napisałam. Potem apetyt oczywiście rośnie. Ale nawet jeśli przeczyta cię sto czy pięćset osób, to przecież wciąż ogromna liczba. Gdy wyobrazisz sobie te osoby w jednym pomieszczeniu, nagle okazuje się, że to naprawdę wielka sala ludzi.

Nominacja dodała ci wiatru w skrzydła?
Tak, bardzo. To ogromnie budujące. Choć z drugiej strony jestem już na takim etapie, że wiem, że będę pisać niezależnie od wszystkiego. Czy będą nagrody, czy nie, czy książka odniesie większy sukces, czy mniejszy. Pisanie bywa trochę jak przekleństwo. Po prostu musisz to robić, nawet jeśli czasem nie masz na to siły (śmiech).

Twoje książki poruszają bardzo mroczne tematy. Jak wpływa na ciebie obcowanie z taką tematyką?
U mnie zawsze najważniejsza była psychologia postaci: co doprowadziło do zbrodni, dlaczego ktoś przekroczył granicę, gdzie właściwie przebiega granica między dobrem a złem. Od zawsze fascynowało mnie pytanie, co musi się wydarzyć, żeby zwykły człowiek, taki jak ty czy ja, nagle zrobił coś strasznego? Czy każdy ma w sobie taką możliwość? Czy trzeba się z tym złem urodzić? Przez długi czas zagłębiałam się w umysły psychopatów i w pewnym momencie po prostu miałam tego dość. Poczułam się tym wszystkim zmęczona. Brudna. Marzyłam o tym, żeby to z siebie zmyć.

I wtedy przyszło Kociewie?
Tak. Zawsze mówię, że tematy książek raczej same do mnie przychodzą. Oczywiście mam swoje spektrum wrażliwości, więc pewne rzeczy rezonują ze mną bardziej, ale konkretne historie po prostu się pojawiają. Kiedy poczułam przesyt psychopatami, zaczęła dojrzewać we mnie opowieść bardziej czuła, wrażliwa, związana właśnie z Kociewiem. To region trochę pozostający w cieniu Kaszub. Może niesłusznie, a może właśnie słusznie, bo Kociewiacy bardzo cenią sobie tę swoją pewną tajemniczość.



FOT. MARTYNA CHMURA

„Szeptanka" Karoliny Głogowskiej to książka, której akcja osadzona jest na Kociewiu

Część mojej rodziny pochodzi z Kociewia, więc te historie od zawsze gdzieś we mnie były. A ponieważ od dziecka marzyłam o napisaniu horroru, wszystko zaczęło się układać. Ale nie interesują mnie slashery, gdzie leje się krew i fruwają flaki. Fascynuje mnie groza psychologiczna. Taka, w której napięcie narasta powoli, bez epatowania brutalnością.

Kociewie jest do tego idealne. To region przesiąknięty historią...
Kiedy pojechałam tam na research, usłyszałam od mieszkańców, że „tam historia wychodzi spod kamienia". I to jest absolutnie prawda. Historie, które zostają w rodzinach na pokolenia.

Co odkryłaś podczas pracy nad tą serią?
Bardzo wiele trudnych historii. Na tych terenach obok siebie żyli Polacy i Niemcy. Ludzie zakochiwali się, zakładali rodziny, mieli dzieci. Potem wojna rozdzielała te rodziny. Mężczyźni byli wcielani do Wehrmachtu, kobiety zostawały same. Do dziś wiele osób z tych terenów mierzy się z oskarżeniami o zdradę. W mojej rodzinie też jest taka historia. Mój pradziadek został wcielony do Wehrmachtu, z którego później zdezerterował. Wracał pieszo z Włoch do Skórcza przez pół roku, unikając śmierci. Zaczęłam rozumieć pewien fenomen, który obserwowałam od dziecka. W mojej rodzinie było wiele bardzo chłodnych, surowych kobiet. Zastanawiałam się, skąd to się brało. Dziś wiem, że to była konsekwencja wojennej traumy. One musiały być twarde, utrzymać dom, wykarmić dzieci, przeżyć. I ta twardość przechodziła z pokolenia na pokolenie.

OD ZAWSZE FASCYNOWAŁO MNIE PYTANIE, CO MUSI SIĘ WYDARZYĆ, ŻEBY ZWYKŁY CZŁOWIEK, TAKI JAK TY CZY JA, ZROBIŁ COŚ STRASZNEGO?

W twojej twórczości bardzo mocno wybrzmiewa siła kobiecych relacji.
To ogromnie ważny wątek. Miałam to szczęście dorastać przy cudownej babci, która była niesamowitą opowiadaczką. Od dziecka karmiła mnie historiami, które początkowo brałam za bajki, a dopiero z czasem rozumiałam, że to były prawdziwe rodzinne opowieści. Stopniowała ich ciężar, dostosowując go do mojego wieku. Pewnego dnia zadała mi pytanie: „Czy już można o tym pisać?". Chodziło jej o wojenne gwałty, o których przez dekady się milczało. Odpowiedziałam jej: „Tak. Już można." Co więcej, inne kobiety z rodziny też chciały o tym mówić. Były zadowolone, że ktoś wreszcie chce słuchać. Dla nich było to uwalniające. Dla mnie również. Kiedy opiszę historię, ona przestaje mnie dręczyć. Zostaje wydobyta na światło dzienne i może po prostu istnieć tam, gdzie powinna, zamiast być spychana w milczenie.

Jak mieszkańcy Kociewia reagują na twoje książki?
Reakcje są przepiękne. Jeżdżę do Skórcza na spotkania autorskie i to zawsze są bardzo wzruszające rozmowy. Ludzie widzą swoje historie ubrane w literacką formę. To daje im poczucie, że ich doświadczenia mają znaczenie. Zastosowałam też pewien zabieg: Skórcz w książkach funkcjonuje jako Turcz. To miasto zawieszone gdzieś między rzeczywistością a realizmem magicznym. Zrobiłam to po to, by nikt nie czuł się wskazywany palcem. Choć oczywiście i tak pojawiają się pytania: „Czy to aby nie o tej pani?" Nie da się tego uniknąć, bo te historie są wciąż bardzo żywe.

Trzecia część serii już powstaje?
Tak, właśnie ją piszę i będzie... jeszcze mroczniejsza. Trafiłam na niezwykle ciekawą historię, która przez lata funkcjonowała na granicy wiejskiej legendy, choć jest oficjalnie udokumentowana. Są zeznania świadków, formalne zapisy. To opowieść balansująca na granicy zjawisk paranormalnych i czegoś bardzo realnego. Więcej na razie zdradzić nie mogę.

Kociewski folklor wydaje się niewyczerpanym źródłem inspiracji.
Zdecydowanie!To fascynujące, jak silnie żywa jest tam wiara w to, co niewytłumaczalne. W wielu domach wciąż mówi się o duszach „do odprowadzenia", praktykuje się rytuały, które ktoś z zewnątrz mógłby nazwać zabobonami. A jednocześnie te same rodziny są bardzo religijne i nikomu to nie przeszkadza. Można iść do kościoła, a potem poprosić kogoś o odprowadzenie duszy albo poradę, jak poradzić sobie z nocną marą. To pokazuje, jak głęboko zakorzeniona jest potrzeba oswajania tego, czego nie umiemy wyjaśnić i właśnie to jest dla mnie literacko najciekawsze.

Czego ci życzyć?
Myślę, że po prostu kolejnych historii. Nagrody są wspaniałe i bardzo cieszy mnie to dostrzeżenie, również dlatego, że dzięki temu bardziej widoczny staje się nasz region. Ale najważniejsze jest to, żeby wciąż móc pisać. I żeby te historie nadal przychodziły.

eprasa.pl bcd09884b6

„ON NASZYM OJCEM", CZYLI JAK RODZIŁ SIĘ KULT PIŁSUDSKIEGO

12 maja 1936 r. odbył się w Wilnie uroczysty pogrzeb serca Józefa Piłsudskiego i szczątków jego matki. Tak zaczynał się kult Marszałka

Mariusz Grabowski

Po śmierci Józefa Piłsudskiego 12 maja 1935 r., wokół jego osoby zaczęła się propagandowa krzątanina, przypominająca niemalże kult świętego. Marszałkowi zaczęto przypisywać cechy „Ojca Narodu", genialnego dowódcy, wybitnego stratega i polityka oraz wizjonera.



FOT. CC

Po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego postanowiono kopiec nazwać jego imieniem. Sypanie zakończono 9 lipca 1937 r.

„Szyby się trzęsły"

Cofnijmy się maja 1935 r. Serce wyjęto z ciała Marszałka w nocy 13 maja. Ważyło niemal połowę więcej niż normalne, a jego rozrost był najprawdopodobniej efektem nadciśnienia. 30 maja z Warszawy wyruszył do Wilna pociąg, do którego dołączono wagon specjalny, wiozący serce Marszałka. „Następnego dnia umieszczono je tymczasowo w kościele św. Teresy przy Ostrej Bramie. Piłsudski polecił w testamencie, by sprowadzić z Litwy trumnę matki. Obok niej miało spocząć jego serce. Po trumnę Marii Piłsudskiej pojechał w czerwcu 1935 r. kpt. Mieczysław Lepecki, były adiutant Marszałka. Złożono ją także w kościele św. Teresy" – pisze Tomasz Stańczyk na stronie muzeumpilsudski.pl.

Rok później, 12 maja 1936 r, w Wilnie odbył się uroczysty pogrzeb serca Józefa Piłsudskiego i szczątków jego matki. Urnę z sercem nieśli najstarsi współtowarzysze Marszałka, a trumnę matki oficerowie. Gdy składano urnę i trumnę do grobu na Rossie, rozległ się huk 101 wystrzałów, zgodnie z życzeniem Marszałka, „aby szyby w Wilnie się trzęsły". Na grobie położono wielką bazaltową płytę z napisem „Matka i Serce Syna".

Cegła po cegle

Uwielbienie piłsudczyków dla swego wodza nie narodziło się jednak nagle – Piłsudskiego mitologizowano już od czasów wojny z bolszewikami w 1920 r. W 1923 r. utworzono Instytut Badania Najnowszej Historii Polski, którego pierwszym prezesem został Leon Wasilewski, uważany w kręgu zaufanych Marszałka za „architekta polskiej polityki wschodniej". Za podstawę działalności Instytutu uznano tworzenie archiwum, aby zgromadzić w nim wszystkie materiały źródłowe dotyczące okresu walk o niepodległość.

Po śmierci Józefa Piłsudskiego Instytut zdecydował wziąć na siebie prace historyczne i badawcze nad okresem jego życia i działalności. W listopadzie 1935 r. zapadła decyzja nadania Instytutowi nowej nazwy, który od tej pory funkcjonował jako Instytut Józefa Piłsudskiego Poświęcony Badaniu Najnowszej Historii Polski. Poza zbieraniem materiałów archiwalnych, Instytut wydawał publikacje mające na celu m.in. „propagowanie" kultu Piłsudskiego.

W 1924 r. kontrolę nad działalnością Związku Legionistów Polskich przejęli najbliżsi zwolennicy Piłsudskiego – Walery Sławek, Janusz Jędrzejewicz, Adam Skwarczyński, Bogusław Miedziński i Marian Zyndram-Kościałkowski.

„Piłsudski dał mu wnyki"

Po zamachu majowym w 1926 r. kult Piłsudskiego wśród piłsudczyków stał się ideologią rozpowszechnianą przez aparat państwa. Marszałek przedstawiany był jako najwybitniejsza osoba w dziejach Polski. Panowało np. przekonanie, że powinien on podejmować decyzje w niemal wszystkich sprawach, nawet tych najbardziej błahych.

Nieco anegdotycznie brzmi fakt, że Michał Tadeusz Brzęk-Osiński – przedstawiciel Komitetu budowy pomnika Czynu Legionowego – odbył podróż z Radomia do Warszawy tylko po to, aby zasięgnąć opinii Marszałka na temat nadesłanych projektów monumentu. W szkołach i urzędach państwowych pojawiły się portrety Piłsudskiego, a dzieci w szkołach uczyły się o jego wyjątkowym znaczeniu dla Polski.

Poeta Artur Oppman w „Abecadle wolnych dzieci. 24 obrazkach" z 1926 r. pisał:

„Napadł na nas wróg półdziki,
Baszkir, Tungus, Tatar,
Lecz Piłsudski dał mu wnyki,
Tęgo łba mu natarł.
Dalej z Polski, rozbójnicy,
Ani chwili dłużej! -
I zmykają bolszewicy,
Aż się droga kurzy…".

Pniewski nad rajzbretem

Powszechnie pojawiającymi się motywami w estetyce II RP były m.in. noszona przez Piłsudskiego czapka maciejówka, jego klacz Kasztanka, a w literaturze „siwy strzelca strój" oraz światło świecące się do późnej nocy w pomieszczeniach zajmowanych przez marszałka, co oznaczało że pracuje nad sprawami wagi państwowej.

Kult Piłsudskiego był ważnym elementem tzw. wychowania państwowego, będącego częścią reformy oświatowej przeprowadzonej przez ministra Janusza Jędrzejewicza w 1932 r. Pisał on: „(…) uważając, że osoba Marszałka Piłsudskiego jest żywym symbolem tego, co wzniosłe i wielkie, że jest jednym z najpiękniejszych w naszej tradycji wzorów wychowawczych, miłość dla niego i szacunek szkoła polska musi szerzyć i kultywować".

Na terenie warszawskiej Ochoty i Mokotowa zaplanowano dzielnicę Marszałka Józefa Piłsudskiego. Jej projekt opracował Bohdan Pniewski, a na jej terenie miał znaleźć się nowy gmach parlamentu, muzea, teatry, szpitale czy szkoły wyższe.

Morze pomników

W 1930 r. w Marysinie Wawerskim odsłonięto 4-metrowy obelisk z popiersiem marszałka i tablicą z napisem: „Pierwszemu Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, Budowniczemu Polski Odrodzonej w dziesiątą rocznicę wyzwolenia od najazdu bolszewickiego". Obok umieszczona była druga tablica upamiętniająca poległych. Gościem honorowym uroczystości odsłonięcia pomnika we wrześniu 1930 r. była żona marszałka – Aleksandra Piłsudska i literat Wacław Sieroszewski. W 1937 r. uzupełniono pomnik o wykutego w brązie stylizowanego orła podrywającego się do lotu.

Dziesięciolecieodzyskania niepodległości upamiętniono wzniesieniem pomnika Piłsudskiego w twierdzy Modlin. Stanął naprzeciwko kasyna oficerskiego i przez okres międzywojenny skwer ten był centralnym miejscem obchodów świat narodowych. Kolejny pomnik marszałka ufundowali pracownicy Wojskowej Wytwórni Balonowej w Legionowie. Został odsłonięty 18 marca 1931 r. Na cokole w kształcie graniastosłupa umieszczono popiersie i dwa legionowe orły, a na tablicy napis upamiętniający wkład Piłsudskiego w zwycięstwo nad wojskami bolszewickimi: „Pierwszemu Marszałkowi Polski Józefowi Piłsudskiemu Budowniczemu Polski Odrodzonej w dziesiątą rocznicę wyzwolenia Ojczyzny od najazdu bolszewickiego Pracownicy Wojskowej Wytwórni Balonowej".

Na terenie całej Polski powstały dziesiątki, jeśli nie setki podobnych pomników. Place, na których stały były miejscem uroczystości patriotycznych i defilad wojskowych. Tam też odbywały się nabożeństwa żałobne po śmierci marszałka.

Strażacy z Przasnysza

Jak pisze Jolanta Załęczny w rozprawie „Kult Piłsudskiego przed i po maju", powszechne było nadawanie Piłsudskiemu tytułu honorowego obywatela miast i gmin. „Był on też patronem wielu szkół. W regionie podwarszawskim jego imię nosiły szkoły w Cechówce i Sulejówku61. Szczególne dla budowania kultu Piłsudskiego były obchody dziesięciolecia odzyskania przez Polskę niepodległości w roku 1928. Także imieniny marszałka miały wówczas podniosły charakter. Główne uroczystości odbyły się przed Belwederem. Przybyła tam sztafeta czołgów oraz zwiad 2. pułku artylerii polskiej z Kielc, dotarły też liczne patrole wojskowe oraz zwycięska drużyna w marszu Sulejówek – Warszawa".

Dodajmy, że pod Belweder przybyli wówczas także uczestnicy biegu sztafetowego od granicy z Prusami zorganizowanego przez Zarząd Okręgowy Związku Straży Pożarnych w Przasnyszu. Wręczyli oni marszałkowi „płonącą pochodnię i symboliczny topór z aktem hołdowniczym we wnętrzu rączki".

Sejm chyli głowę

Kwestią czasu było przeniesienie kultu Marszałka na grunt prawa. 7 kwietnia 1938 r. Sejm II RP jednomyślnie uchwalił ustawę „O ochronie imienia Józefa Piłsudskiego, pierwszego Marszałka Polski". Był to jeden z licznych przejawów kultu po zmarłym Naczelniku, i co ciekawe, przyczyniła się do tego recenzja jednej z książek Melchiora Wańkowicza.

Autor „Sztafety" zrecenzował tekst prof. Stanisława Cywińskiego z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i publicysty „Dziennika Wileńskiego" zatytułowany „COP. Ognisko siły. Centralny Okręg Przemysłowy". Odniósł się w nim pośrednio do słów, które miał niegdyś wypowiedzieć Marszałek: „Polska jest jak obwarzanek. Wszystko, co najlepsze, na Kresach, a w środku pustka". Ale przytoczył też słowa Cywińskiego o „pewnym kabotynie", które uznano za szyderstwo z Piłsudskiego.

Początkowo recenzja książki Wańkowicza nie wzbudziła większych kontrowersji. Punktem zwrotnym był dopiero komentarz do tekstu Cywińskiego zamieszczony w dwutygodniku „Naród i Państwo". Zwracał on uwagę na celowość doboru słów docenta, mających ugodzić w dobre imię Piłsudskiego.

Kult w praktyce

Ustawa z 1938 r. została podpisana przez prezydenta Ignacego Mościckiego, premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego oraz ministra sprawiedliwości Witolda Grabowskiego. Był to pierwszy w Polsce akt prawny mający dbać o dobre imię konkretnej osoby.

Ochronie podlegała pamięć o czynach i zasługach Józefa Piłsudskiego, określonego jako „Wskrzesiciela Niepodległości Ojczyzny i Wychowawcy Narodu". Za zniesławienie dobrego imienia Marszałka groziła odtąd kara nawet pięciu lat więzienia.

Wcześniej jednak inspektor armii w Wilnie gen. Stefan Dąb-Biernacki wydał rozkaz, aby grupa oficerów zdemolowała redakcję „Dziennika Wileńskiego" oraz pobiła redaktora pisma Aleksandra Zwierzyńskiego i prof. Cywińskiego. Oficerowie, którzy brali udział w samosądzie, nie ponieśli żadnej kary. Natomiast Zwierzyński i Cywiński zostali postawieni przed sądem. Redaktora „Dziennika Wileńskiego" uniewinniono, a Cywińskiego skazano na trzy lata więzienia. Dopiero p[otem złagodzono mu wyrok do roku.

eprasa.pl bcd09884b6

Polska
Poniedziałek, 11.05.2026

Gdy Pacelli bronił kardynała Mundeleina za ostre słowa o Hitlerze

Jak Watykan bronił hierarchy, który publicznie nazwał Hitlera „marnym tapeciarzem”? Podczas rzymskiej konferencji poświęconej Piusowi XII, Andrea Tornielli przybliżył kulisy głośnej sprawy kardynała Mundeleina. Prezentujemy syntezę wystąpienia dyrektora mediów watykańskich o tym niezwykłym starciu dyplomatycznym z III Rzeszą, w którym kluczową rolę odegrał przyszły papież

Andrea Tornielli – Watykan

Jedną z najważniejszych kart z czasów posługi kard. Eugenia Pacellego(przyszłego papieża Piusa XII), jako sekretarza stanu u boku Piusa XI jest bez wątpienia obrona kardynała George'a Williama Mundeleina. 18 maja 1937 roku arcybiskup Chicago, podczas zamkniętego spotkania ze swoimi księżmi, wygłosił niezwykle ostre przemówienie wymierzone w Adolfa Hitlera: „Być może zapytacie mnie, jak to możliwe, że sześćdziesięciomilionowy naród inteligentnych ludzi chce podporządkować się obcokrajowcowi, austriackiemu tapeciarzowi – i to, jak mi mówią, marnemu fachowcowi – oraz garstce wspólników, takich jak Goebbels i Göring, którzy decydują o każdym kroku narodu niemieckiego”.

Kardynał posunął się nawet do polemicznej tezy, że mózgi 66 milionów Niemców zostały usunięte bez ich wiedzy. Było to wystąpienie ogromnej wagi, wygłoszone bez dyplomatycznych zahamowań przez duchownego żyjącego tysiące kilometrów od Europy. Jego słowa natychmiast trafiły na pierwsze strony wszystkich amerykańskich gazet.



FOT. VATICAN NEWS

18 maja 1937 roku arcybiskup Chicago, podczas zamkniętego spotkania ze swoimi księżmi, wygłosił niezwykle ostre przemówienie wymierzone w Adolfa Hitlera

Niemiecki protest i odpowiedź Pacellego

24 maja niemiecki ambasador von Bergen poprosił o audiencję u kardynała sekretarza stanu i ją uzyskał. Przekazał on Pacellemu niepodpisaną i nieopatrzoną datą notę na papierze firmowym ambasady Niemiec, zawierającą ostry protest rządu w Berlinie przeciwko słowom arcybiskupa Chicago.

Pacelli odpowiedział ustnie, lecz jeszcze tego samego dnia przesłał von Bergenowi zapis swojej porannej wypowiedzi:

1. „W nawiązaniu do przekazanej mi informacji o przemówieniu Jego Eminencji kardynała Mundeleina, pozwolę sobie odpowiedzieć stwierdzeniem oraz pytaniem retorycznym. Po pierwsze: nie mam w zwyczaju wypowiadać się na temat przemówień, których treść – tak jak w tym przypadku – nie została jeszcze w pełni i wiarygodnie potwierdzona.

2. Nawet gdybym dysponował takim tekstem, nie mógłbym zająć stanowiska wobec Państwa komunikatu przed otrzymaniem jasnej i satysfakcjonującej odpowiedzi na następujące pytanie: co rząd niemiecki uczynił i co zamierza uczynić w przyszłości przeciwko podłym obelgom, zniesławieniom i haniebnym potwarzom, które każdego dnia powtarzają się w niemieckich gazetach i czasopismach, a także w wystąpieniach prominentnych osobistości, wymierzonym w Kościół, instytucje kościelne, papieża, kardynałów, biskupów i kapłanów?

Aby ułatwić zadanie Ekscelencji, sam odpowiem na pierwszą część pytania: rząd niemiecki – mimo wszelkich skarg – nie zrobił w tej sprawie nic. Przeciwnie: sam ponosi za to odpowiedzialność, ponieważ urzędy państwowe i partyjne, a zwłaszcza Ministerstwo Propagandy, w dużej mierze organizują i kierują taką postawą w publikacjach i przemówieniach, a przynajmniej wspierają ją i promują wszelkimi środkami. Na drugą część pytania, dotyczącą przyszłości, może odpowiedzieć jedynie rząd niemiecki. Stolica Apostolska oczekuje w tej kwestii jasnej i ostatecznej odpowiedzi”.

Naciski Niemiec

Protest został więc stanowczo odrzucony. Stolica Apostolska zażądała od rządu Rzeszy wyjaśnień w sprawie licznych naruszeń konkordatu, które dotąd pozostawały bez echa. 29 maja chargé d'affaires ambasady Niemiec, Fritz von Menshausen, przekazał Pacellemu kolejną, tym razem groźną notę. Jej celem było wymuszenie na Watykanie publicznego potępienia Mundeleina. W dokumencie czytamy: „Rząd niemiecki zmuszony jest stwierdzić, że Stolica Apostolska dopuszcza do tych niedopuszczalnych publicznych ataków jednego ze swoich najwyższych dygnitarzy na osobę Głowy Państwa Niemieckiego, nie korygując ich, czym de facto bierze za nie odpowiedzialność przed światem”.

Ten formalny protest nie mógł pozostać bez odpowiedzi. Papież Ratti zwołał posiedzenie kardynałów należących do Kongregacji Nadzwyczajnych Spraw Kościelnych. Spotkanie odbyło się 20 czerwca 1937 roku o godzinie 11:00 w Castel Gandolfo pod przewodnictwem samego papieża. Relację wprowadzającą przygotował kardynał Pacelli.

Oto fragment jego wystąpienia:

„Stolica Apostolska nie może sama prostować ani potępiać przemówienia kardynała Mundeleina. Byłby to akt słabości, który uczyniłby przywódców narodowego socjalizmu oraz samego Hitlera jeszcze bardziej pysznymi. On sam, żyjąc w ułudzie, wierzy, że cały świat powinien natychmiast bić przed nim pokłony. Owszem, fragment przemówienia kardynała Mundeleina dotyczący głowy państwa niemieckiego był niefortunny. Mógłby on sam złożyć pewne publiczne wyjaśnienia. Ponieważ jednak rząd niemiecki opublikował notę ambasadora do Stolicy Apostolskiej z 29 maja, opinia publiczna łatwo mogłaby pomyśleć, że oświadczenie kardynała zostało wydane na polecenie Watykanu, co wyglądałoby na uległość wobec żądań Berlina”.

Wymowne świadectwo

Ten tekst jest niezwykle wymowny i po raz kolejny ukazuje prawdziwy stosunek Eugenia Pacellego do Hitlera. Ukazuje on także zręczność, z jaką kardynał przedstawił problem papieżowi i współpracownikom z Sekretariatu Stanu, dbając o to, by arcybiskup Chicago nie musiał odwoływać ani jednego słowa. Pius XI w pełni podzielił opinię Pacellego, nazywając go „naszym kardynałem sekretarzem stanu, dla którego nie starcza słów uznania”.

W oficjalnej odpowiedzi przesłanej do ambasady Niemiec cztery dni później, Pacelli stwierdził, że Mundelein nie reprezentował Stolicy Apostolskiej, a jego przemówienie nie miało charakteru publicznego. Zaznaczono również, że arcybiskup Chicago jest wolnym obywatelem korzystającym z praw gwarantowanych przez konstytucję swojego kraju. Wyraził on własną opinię o wydarzeniach w Niemczech, które były obraźliwe dla papieża i Kościoła. Watykan nie odmówił dyskusji o „przypadku Mundeleina”, ale podkreślił, że wymaga to partnerskich warunków – rząd Rzeszy musiałby najpierw odpowiedzieć na liczne protesty Stolicy Apostolskiej wysyłane wcześniej na próżno.

Niemiecka reakcja zakończyła się fiaskiem. Co więcej, 17 lipca 1937 roku, przyjmując grupę pielgrzymów z Chicago, Pius XI publicznie pochwalił to miasto oraz ich „wspaniałego kardynała arcybiskupa, tak gorliwego w obronie praw Boga i Kościoła dla zbawienia dusz”.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl bcd09884b6

pod PARAGRAFEM

CZYTELNIA

Komisarz Maurizi nigdy nie śpi
Za tydzień w księgarniach „Nie dotykaj mnie" Andrei Camilleriego (wyd. Noir sur Blanc) – kolejna porcja przygód komisarza Mauriziego. Tym razem Camilleri konstruuje fabułę, która jest jednocześnie intrygą kryminalną i hołdem dla malarstwa. A zaczyna się od zaginięcia Laury Garaudo, żony znanego pisarza, która zostawia mu serię misternie zaszyfrowanych wiadomości.

ZA TYDZIEŃ

8 maja 1953 r. biskupi mówią: „Non possumus"
W memoriale skierowanym do władz komunistycznych biskupi sprzeciwiali się zakusom podporządkowania Kościoła władzom świeckim.



Masoni z Lublina zdemaskowani, czyli nie taki diabeł straszny

Małgorzata Szlachetka
redakcja@polskatimes.pl

Owiani sekretami lokalni masoni spotykali się w pałacu, który później stał się siedzibą lubelskich biskupów. Tam odprawiano rytuały i obrzędy.

Okazuje się, że wolnomularzami w pierwszej połowie XIX wieku byli najznakomitsi obywatele miasta, na czele z Teodorem Franciszkiem Gruell-Gretzem, który po uchwaleniu Konstytucji 3 maja został prezydentem Lublina.



Pamiątki po lubelskich masonach znajdują się obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie

Masoni i konstytucja

Ruch masoński narodził się w Anglii. Polski termin „mason" pochodzi od tego samego słowa w języku angielskim. Podobnie brzmi po francusku. Można je tłumaczyć jako „mularz". Z kolei polskie słowo „wolnomularz" oznacza osobę inicjowaną, przyjętą do loży. Terminy „mason" i „wolnomularz" stosuje się wymiennie. Dawna nazwa wolnomularstwa to „sztuka królewska" (po łacinie „ars regia").

Pierwsza loża na ziemiach Rzeczpospolitej powstała w trzeciej dekadzie XVIII w. Co ciekawe - w przeciwieństwie do lóż angielskich - przyjmowały one także kobiety. Wolnomularstwo było nierozerwalnie związane z prądami oświeceniowymi. Ze środowiska wolnomularskiego wywodzą się założyciele Szkoły Rycerskiej oraz twórcy Konstytucji 3 maja, na czele ze stawiającym na reformę państwa królem Stanisławem Augustem Poniatowskim.

W okresie zaborów loże zakładane przez Polaków mocno akcentowały motyw odzyskania przez nasz kraj niepodległości, co zawsze powiązane było z potrzebą samodoskonalenia. Kres dążeniu do ideału miała przynieść dopiero śmierć.

Zostały pamiątki

Pierwsza loża masońska Lublina, „Wolność Odzyskana", została założona 9 lutego 1811 roku. Jej historię i listę członków znamy dziś dzięki tomowi „Wolne mularstwo w Lubelszczyźnie 1811-1822", spisanemu przez historyka dziejów masonerii hr. Stanisława Małachowskiego-Łempickiego. Prawdopodobnie także należącego do loży.

W 1933 r. dotarł on do pamiątek przechowywanych przez dr. Jana Mędrkiewicza, którego przodkiem ze strony matki był Paweł Wagner, ewangelik i członek lubelskiej loży „Wolność Odzyskana". Wagner, a potem Mędrkiewiczowie, byli właścicielami istniejącego do dziś Dworku Kościuszków.

Gdy mocą ukazu carskiego z sierpnia 1821 r. zostały rozwiązane struktury lożowe w Rosji oraz w zaborze rosyjskim, Wagner ukrył cenne pamiątki masońskie w swoim dworku, w ten sposób ocalając je przed prawdopodobnym zniszczeniem.

Spiski i rytuały

Ważnym elementem masońskich spotkań były wspólne posiłki przy stole ustawionym w podkowę, w czasie których nie tylko wznoszono toasty, ale też śpiewano pieśni. W XIX wieku przy akompaniamencie klawesynu, następnie fisharmonii, a nawet organów. Do dziś zachowały się masońskie śpiewniki.

Szczególnie uroczyste były biesiady organizowane w dniu patronów masonerii: św. Jana Chrzciciela (24 czerwca) i św. Jana Ewangelisty (27 grudnia). Przy wznoszeniu toastów używano swoistego szyfru rodem z wojskowego słownika: puchar - strzelba, podnieść puchar - dobyć oręża, wino czerwone - proch pospolity, wino białe - proch tęgi. Łyżka była kielnią, a chleb surowym kamieniem. Proszący o cukier mówił z kolei o piasku urodzajnym.

Był masonem czy nie?

Lubelska loża „Wolność Odzyskana" była jedną z pierwszych w Księstwie Warszawskim. W gronie jej założycieli znalazło się wielu wojskowych, m.in. gen. dywizji Ludwik Kamieniecki (późniejszy pierwszy mistrz), pułkownicy Antoni Gużkowski, Józef Nowicki i Maciej Straszewski, ale też prawnicy, jak Jan Luszczyński - sędzia Trybunału Cywilnego w departamencie lubelskim.

Uwagę przykuwa jednak inne nazwisko - Teodor Gruel. To jedyna postać, przy której hrabia Małachowski-Łempicki nie podaje pełnionej funkcji ani zawodu. Być może dlatego, że ówczesnemu czytelnikowi nie trzeba było specjalnie tej osoby przedstawiać.

Czy pierwszy konstytucyjny prezydent Lublina był wolnomularzem? Zapewne, podobnie jak gorącym orędownikiem reform Sejmu Czteroletniego, a w czasie insurekcji kościuszkowskiej dostarczycielem dla powstańców lekarstw o wartości 3561 złotych.

Podziw i uznanie

Wróćmy do historii loży „Wolność Odzyskana". W 1813 roku mistrzem katedry został Ksawery Potocki, prezes Sądu Karnego departamentu lubelskiego. W następnym roku w tej roli zastąpił go lubelski bibliofil Klemens Urmowski.

„O prywatnej bibliotece Klemensa Urmowskiego głośno było w ówczesnym Lublinie, wywoływała uczucia podziwu i uznania. (...) Wszystko, co nowe i wartościowe na rynku, nie było mu obce. Utrzymywał obszerne kontakty z autorami, wydawcami i księgarzami, swoje zbiory kompletował z niezawodnym znawstwem i pod kątem piśmiennictwa najbardziej wybitnego (...)" - czytamy w artykule Mieczysława Adrianka „Po trzykroć książki".

Dodajmy, że „Almanach Lubelski" został wydany w drukarni innego lubelskiego masona Jana Karola Pruskiego. We wspomnianym tomie znalazł się m.in. pierwszy przewodnik po województwie lubelskim - „Opis historyczno--malarski departamentu lubelskiego" spisany przez Kazimierza Padułę.

Także porucznik Aleksander Fredro

„Wolność Odzyskana" w 1815 r. miała już 159 tzw. czynnych członków. Prawie połowę z nich stanowili wojskowi, 22 osoby reprezentowały zawody prawnicze. Do grona lubelskich masonów przez chwilę należał także Aleksander Fredro, porucznik ułanów stacjonujących w Lublinie - jeszcze nie dramatopisarz, a żołnierz.

Członkami loży byli także muzycy Ludwik Romm i Michał Serwaczyński, ale też kupiec Jan Meisner, szef pociągów Feliks Hryniewicz czy ewangelicki pastor Jakub Glass. Wreszcie wspomniany już wcześniej drukarz Jan Karol Pruski oraz sekretarz poczty Michał Somerfeld.

„Dwaj ostatni byli bardzo cenieni dla loży. Pierwszy [za] darmo drukował dla niej spisy członków i przemówienia, drugi zaś pilnował, aby korespondencja lożowa szybko i bezpiecznie była ekspediowana. Z tych względów każda loża starała się mieć w swym gronie właściciela drukarni i naczelnika poczty" - pisze hrabia Małachowski-Łempicki.

Niemieccy bracia

„Wolność Odzyskana" nie była jedyną lożą masońską w Lublinie - 26 maja 1816 r. powstała „Świątynia Równości". Ją z kolei upodobali sobie lokalni urzędnicy. Działała także niższa kapituła „Prawdziwa Jedność", która m.in. prowadziła bibliotekę i organizowała odczyty dla braci z Lublina.

Ważnym aspektem działalności masonów była dobroczynność. W każdej loży znajdowali się bracia nazywani jałmużnikami. „W Bibliotece Narodowej zachowały się listy z prośbą o pomoc, słane do warszawskiej loży „Świątynia Izis" przez braci niemieckich. To byli pruscy urzędnicy, którzy zostali w Polsce po 1807 roku, czyli po powstaniu Księstwa Warszawskiego" - dowodzi prof. Tadeusz Cegielski, historyk Uniwersytetu Warszawskiego,a także wolnomularz.

12 lutego 1815 r. powstało Lubelskie Towarzystwo Dobroczynności. Prezesem towarzystwa został wybitny mason ks. Adam Czartoryski. Także większość jego założycieli była wolnomularzami. I to oni nadawali ton tej instytucji do czasu nakazu likwidacji lóż z 1821 r.

Car jest przeciw

Ukaz cara Aleksandra I (co ciekawe, wcześniej także członka loży masońskiej) z 1821 roku o rozwiązaniu wszystkich lóż był dla braci wstrząsem. Łudzili się, że to tylko czasowa sytuacja. Z tego powodu zabrali ze sobą, żeby nie przepadły, archiwum, pieczęcie, książki z biblioteki, klejnoty i sprzęty lożowe. Wśród nich był tron mistrza.

Pieniądze, które znajdowały się w kasie, rozdali biednym, potrzebujący zaś wsparcia bracia otrzymali ostatnie zapomogi. Ostatnie posiedzenie „Loży Odzyskanej" odbyło się 12 października 1821 r.

Paweł Wagner i Jan Reinberger zostali zmuszeni do przepisania siedziby obu lubelskich lóż na rzecz rządu Królestwa Polskiego. Musieli także ujawnić, co zrobili z masońskim majątkiem. Mimo to niektórzy mijali się z prawdą. Np. zeznali, że ich archiwum zostało spalone (jak wiemy, nie jest to do końca prawdą), a wyposażenie sprzedane między braci, czyli członków lóż. Tylko cztery złote lichtarze miał dostać kościół grecki.

4 października 2008 r. w pałacu w Gardzienicach pod Lublinem odbyła się ceremonia obudzenia loży „Wolność Odzyskana". Brali w niej udział delegaci z Polski, Anglii, Francji, Szwecji i Ukrainy. „Wolność Odzyskana" jest dziś 14. czynną lożą należącą do Wielkiej Loży Narodowej Polski.

eprasa.pl bcd09884b6

32. KOLEJKA EKSTRAKLASY

RAKÓW CZĘSTOCHOWA - KORONA KIELCE 2:0
Bramki: Diaby-Fadiga 48, Bulat 57

LECH POZNAŃ - ARKA GDYNIA 1:1
Bramki: Palma 57 - Hermoso 52

WIDZEW ŁÓDŹ - LECHIA GDAŃSK 3:1
Bramki: Bergier 10, 28, Kapuadi 37 - Zhelizko 66

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK - POGOŃ SZCZECIN 3:2
Bramki: Szmyt 11, Pululu 32, Vital 90+1 - Cuic 44, Agger 83

GÓRNIK ZABRZE - ZAGŁĘBIE LUBIN 0:2
Bramki: Kolan 63, Szabo 74

PIAST GLIWICE - GKS KATOWICE 0:0

1.	Lech Poznań	32	56	57-42
2.	Jagiellonia Białystok	31	49	51-39
3.	Raków Częstochowa	31	49	45-37
4.	Górnik Zabrze	31	49	43-36
5.	GKS Katowice	32	48	48-42
6.	Zagłębie Lubin	32	48	45-36
7.	Wisła Płock	31	45	32-31
8.	Radomiak Radom	31	43	49-44
9.	Pogoń Szczecin	32	41	45-48
10.	Piast Gliwice	32	41	40-41
11.	Legia Warszawa	31	40	35-36
12.	Widzew Łódź	32	39	39-39
13.	Korona Kielce	32	39	38-39
14.	Cracovia	31	39	35-38
15.	Motor Lublin	31	39	39-46
16.	Lechia Gdańsk	32	38	59-60
17.	Arka Gdynia	31	35	32-55
18.	Bruk-Bet Nieciecza	31	28	37-60

Zaległe mecze 31. kolejki:
Środa 13.05
Arka Gdynia - Górnik Zabrze (godz. 18.00), Raków Częstochowa - Jagiellonia Białystok (godz. 20.30).

Program 33. kolejki:
Piątek 15.05
Zagłębie Lubin - Pogoń Szczecin (godz. 18.00), Korona Kielce - Widzew łódź (godz. 20.30).
Sobota 16.05
Motor Lublin - Cracovia (godz. 14.45), Wisła Płock - Górnik Zabrze (godz. 17.30), Radomiak Radom - Lech Poznań (godz. 20.15).
Niedziela 17.05
Piast Gliwice - Raków Częstochowa (godz. 12.15), GKS Katowice - Jagiellonia Białystok (godz. 14.45), Lechia Gdańsk - Legia Warszawa (godz. 17.30).
Poniedziałek 18.05
Arka Gdynia - Bruk-Bet Nieciecza (godz. 19.00)

JEDENASTKA KOLEJKI



NAJLEPSI STRZELCY

17 goli
Tomas Bobcek (Lechia Gdańsk)
16 goli
Karol Czubak (Motor Lublin)
15 goli
Mikael Ishak (Lech Poznań), Jonatan Brunes (Raków Częstochowa)
14 goli
Sebastian Bergier (Widzew Łódź)
13 goli
Jesus Imaz (Jagiellonia Białystok), Afimico Pululu (Jagiellonia Białystok)

BOHATER WEEKENDU

Sebastian Bergier (Widzew Łódź)
To bohater najlepszego letniego transferu Łodzian i zarazem ich bohater na finiszu sezonu, gdy ważą się losy utrzymania. W meczu z Lechią zagrał na nieosiągalnym dla reszty poziomie. Jeszcze przed przerwą do dwóch bramek dołożył asystę. Jest drugim najskuteczniejszym Polakiem w ekstraklasie.


FOT. PAP

PKO BP Ekstraklasa Widzew przebudził się w ostatnim momencie

Lech odlicza już do mistrzostwa, Lechia coraz mocniej drży o byt

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Jesteśmy coraz bliżej rozstrzygnięć w PKO BP Ekstraklasie. Lech Poznań może świętować obronę tytułu mistrzowskiego w przyszłą sobotę na stadionie Radomiaka.


FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI
Przewodzący tabeli Lech niespodziewanie tylko zremisował z zagrożoną spadkiem Arką

32. kolejka zaczęła się pod Jasną Górą. Wszyscy byli ciekawi, jak wypadnie debiut trenera Dawida Kroczka w Rakowie Częstochowa. Były asystent Marka Papszuna, oddelegowany ostatnio do skautingu, przejął zespół po porażce w finale Pucharu Polski, o czym zadecydował jednoosobowo właściciel klubu Michał Świerczewski, zwalniając po ledwie czterech miesiącach trenera Łukasza Tomczyka.

Aktualny wicemistrz odżył. W piątkowe późne popołudnie nie dał szans niżej notowanej Koronie Kielce, zwyciężając gładko po ładnych golach Lamine'a Diaby-Fadigi i Marko Bulata. Po niespełna rocznej przerwie spowodowanej kontuzją do składu wrócił Władysław Koczerhin.

Niebywały przebieg miał drugi piątkowy mecz. Przewodzący tabeli Lech Poznań dopingowany przez rekordową liczbę widzów (ponad 41 tysięcy) niespodziewanie tylko zremisował z zajmującą miejsce w strefie spadkowej Arką Gdynia. Trudno racjonalnie wytłumaczyć ten rezultat, skoro faworyt miał przytłaczającą przewagę, która przejawiła się przez 25 oddanych strzałów i aż 80 procent posiadania piłki. Może na boisku zabrakło kogoś takiego jak Ali Gholizadeh, który oglądał o to spotkanie z trybun. Irańczyk już w „Kolejorzu" nie zagra, bo tydzień temu zerwał więzadła, a poza tym nie otrzyma nowej umowy, choć negocjacje jeszcze chwilę temu się toczyły.

Lech po tym weekendzie i tak jest jednak wygranym. Niespodziewanie bowiem w sobotę goniący go Górnik Zabrze przegrał pierwszy raz od lutego, przez co spadł na czwarte miejsce. Zespołowi Michala Gasparika gra po sięgnięciu po krajowe trofeum w ogóle się nie kleiła. Zagłębie Lubin zagrało nie tylko intensywnie, ale też z pomysłem. W drugiej połowie zadało dwa zabójcze ciosy po uderzeniach Jakuba Kolana i Leventa Szabo. Porażka Zabrzan oznacza, że Lech ma autostradę do mistrzostwa. Tytuł przypieczętuje kolejkę przed końcem rozgrywek, jeśli wygra w Radomiu z miejscowym Radomiakiem.

Za plecami Lecha trwa za to zażarta walka o wicemistrzostwo. Trzy zespoły mają po 49 punktów. Oprócz Górnika i Rakowa w tym gronie jest Jagiellonia Białystok, której kibice przeżyli prawdziwą huśtawkę nastrojów. Drużyna prowadziła z Pogonią Szczecin już dwiema bramkami, potem dwie straciła, aż w końcu w doliczonym czasie trafiła na wagę zwycięstwa. Drogę od zera do bohatera przemierzył stoper Bernardo Vital, autor decydującego gola, który uprzednio zawalił jedną z bramek.

W dobrych humorach są również piłkarze Widzewa Łódź. Po długim czasie opuścili strefę spadkową, spychając do niej Lechię Gdańsk dzięki wygranej w bezpośrednim meczu. Niesamowity występ zaliczył Sebastian Bergier, autor dwóch goli i asysty. - Drużyna mogła się rozpaść, trybuny też, a to wszystko poszło w drugą stronę - mówił na konferencji trener Łodzian Aleksandar Vuković. Przed nim decydujące mecze z Koroną Kielce i Piastem Gliwice. Świecąca na czerwono w tabeli Lechia zagra natomiast najpierw z Legią Warszawa, a potem z Bruk-Bet Termaliką Nieciecza.
©℗

Wisła Kraków wraca do elity. Szaleństwo przy Reymonta i zapłakany Królewski

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Wisła Kraków po czterech latach na zapleczu PKO BP Ekstraklasy wróciła do elity.**

„Biała Gwiazda" wywalczyła awans na własnym stadionie, wygrywając z Chrobrym Głogów w 32. kolejce Betclic 1. Ligi. Bramki na wagę awansu zdobyli Julian Lelieveld i Marko Bożić. Wielkim wsparciem dla klubu z Krakowa byli kibice.

Przez cały mecz z Chrobrym, a także przez kilkadziesiąt minut po końcowym gwizdku z trybun słychać było przyśpiewki „Kochana Wisełka" czy „Wisła Kraków znowu w ekstraklasie". Przy Reymonta panowała totalna euforia, fani byli doskonale przygotowani na fetowanie długo wyczekiwanego - i naprawdę zasłużonego w kończącym się powoli sezonie - awansu. Warto oddać sympatykom krakowskiego klubu, że średnia frekwencja na meczach Wisły wynosi blisko 27 tysięcy i jest najwieksza w Betclic 1. Lidze i druga w kraju. Tylko lider PKO BP Ekstraklasy, czyli Lech Poznań, może poszczycić się większym wsparciem fanów na swoich meczach.

Piłkarze nie zapomnieli, ile zawdzięczają fanom - świętując na murawie, dziękowali kibicom. Radości z upragnionego powrotu do elity nie było końca. Wielki moment celebrowali, między innymi, byli zawodnicy Wisły. Na trybunach zjawili się m.in. Jakub Błaszczykowski czy Marcelo. Obecność byłego reprezentanta Polski można zrozumieć, tym bardziej że Kuba pomagał Wiśle w najtrudniejszych chwilach - przede wszystkim finansowo.

Emocji nie ukrywali trener Mariusz Jop i prezes Jarosław Królewski. Jop został oblany przez piłkarzy szampanem podczas konferencji prasowej. Przyznał, że cieszy się, iż może obcować z takim zespołem i po latach ciężkiej pracy i wyrzeczeń udało się wreszcie wywalczyć awans.

- Nikt nam tutaj nie dał nic za darmo. Wszystko, co osiągnęliśmy, jest wynikiem poświęceń i pracy w fantastycznej atmosferze - powiedział.

Królewski nie ukrywał łez. Przemówił do fanów, mimo ogromnego wzruszenia - Zrobiliśmy to, ku**a! Dziękuję, że byliście ze mną w trudnych chwilach. Rok temu nie było wielu, którzy jeszcze wierzyli. Dziękuję wam z całego serca! - wykrzyczał większościowy udziałowiec Wisły, za którym naprawdę trudne cztery lata.

- To był bardzo dobry mecz całego zespołu. Mamy szczęśliwy dzień. Natomiast trzeba pamiętać, że chcemy tę ligę wygrać, więc trzeba się jeszcze skupić na dwóch ostatnich s potkaniach - wyjaśnił już na spokojnie dla „Gazety Krakowskiej" Królewski.

I dodał: Przede wszystkim chcielibyśmy być pełnoprawnym członkiem ekstraklasy, czyli grać nie o utrzymanie, tylko starać się na początek utrzymać się gdzieś w środku tabeli. ©℗

eprasa.pl bcd09884b6

Dwa nieoczywiste powołania do kadry Urbana?

Bartosz Głąb
redakcja@polskapress.pl

Jan Urban od meczów towarzyskich rozpoczyna budowę kadry przed jesiennym startem Ligi Narodów.

Piłkarska reprezentacja Polski nie weźmie udziału w MŚ 2026, jednak to wcale nie oznacza, że kadrowicze będą mieli wolne do września. PZPN już ogłosił przeciwników oraz konkretne daty dwóch meczów towarzyskich, które zostaną rozegrane po zakończeniu sezonów ligowych.

Podopieczni selekcjonera Jana Urbana zgrupowanie rozpoczną pod koniec maja, jeszcze przed oficjalnym terminem FIFA. Przerwa reprezentacyjna startuje bowiem w poniedziałek, 1 czerwca. Natomiast PZPN poinformował, że już 31 maja kadra rozegra mecz towarzyski na stadionie Tarczyński Arena we Wrocławiu z Ukrainą.

Przed dwoma laty Biało-Czerwoni również grali w podobnym terminie towarzysko z Ukrainą, tyle że wtedy przygotowywali się do Euro 2024. Teraz będzie to test przygotowujący do rywalizacji w Lidze Narodów, która wystartuje jesienią. Przedsprzedaż biletów dla użytkowników InPost Mobile rozpocznie się 11 maja, dwa dni później ruszy natomiast otwarta sprzedaż wejściówek na to spotkanie.

Lokalizacja meczu nie jest przypadkowa. Przy okazji spotkania ma zostać oddany hołd Jackowi Magierze, byłemu już niestety drugiemu trenerowi reprezentacji Polski, który zmarł nagle 10 kwietnia w wieku zaledwie 49 lat. Szkoleniowiec przez ostatnie lata mieszkał właśnie we Wrocławiu.

– Nie jest mi łatwo mówić na ten temat, bo od razu człowieka opanowuje smutek. Trudno wyobrazić sobie taką sytuację i przejść do rzeczywistości. Rozmawiamy o tym, jak moglibyśmy to zrobić, bo Jacek spędził tam trochę czasu trenerskiego i odniósł sukces, jakim było wicemistrzostwo Polski. Na pewno związek ma to na uwadze – zdradził Jan Urban w niedawnej rozmowie z Kanałem Sportowym.

Trzy dni po spotkaniu z Ukrainą Biało-Czerwoni zagrają towarzysko na stadionie PGE Narodowy w Warszawie z Nigerią. To afrykańska potęga, która niespodziewanie również nie zdołała zakwalifikować się na tegoroczny mundial w Ameryce Północnej. W barwach „Super Orłów" występują między innymi napastnik Victor Osimhen z Galatasaray Stambuł czy skrzydłowy Ademola Lookman z Atletico Madryt.



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Najbliższe zgrupowanie kadry powinno być poligonem doświadczalnym dla Jana Urbana

W przypadku starcia w stolicy z Nigeryjczykami sprzedaż otwarta biletów ruszyła 8 maja. Na oba spotkania wejściówki będą w identycznych cenach – 80 zł, 120 zł oraz 190 zł – w zależności od wybranej kategorii. Ceny są średnio o 50 zł niższe niż na marcowy półfinał baraży MŚ 2026 przeciwko Albanii.

Z racji towarzyskiego charakteru obu spotkań w gronie powołanych na zgrupowanie powinniśmy zobaczyć przynajmniej kilka nowych nazwisk. Na liście mają znaleźć się między innymi Mateusz Żukowski robiący furorę w 2. Bundeslidze oraz zaledwie 18-letni obrońca Kacper Potulski, który zbiera bardzo pozytywne recenzje na najwyższym poziomie rozgrywkowym w niemieckim FSV Mainz.

Czy na zgrupowaniu pojawi się kapitan Robert Lewandowski, który coraz poważniej rozważa zakończenie kariery reprezentacyjnej? Jan Urban przypomniał ważną deklarację doświadczonego napastnika.

– Z tego, co wiem, to Robert miał wyprowadzić dziewczynkę na mecz. A to chyba znaczy, że pod koniec maja będzie obecny. Co dalej? Zobaczymy. Ma swobodę decyzji, ale ma też rozwiązanie sytuacji w klubie. Szkoda by było, gdyby go zabrakło w kadrze, ale to jego decyzja – podkreślił szkoleniowiec.

Reprezentanci Polski najprawdopodobniej 4 czerwca rozjadą się na wakacje lub do swoich domów. Natomiast najlepsze drużyny narodowe na świecie w tym samym czasie udadzą się do Ameryki Północnej, gdzie 11 czerwca wystartują finały MŚ 2026.

©℗

Ligi zagraniczne. Buksa z golem we Włoszech. Benedyczak skuteczny w Turcji

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

W lidze włoskiej przypomniał się Adam Buksa. Napastnik reprezentacji Polski spłacił kredyt zaufania, który dostał od Kosty Runjaicia, wychodząc po raz drugi z rzędu w pierwszym składzie.

Buksa nie ma zbyt kolorowego sezonu w barwach Udinese. Zazwyczaj jest rezerwowym i rzadko strzela gole. Ostatnio na listę strzelców wpisał się 2 marca. Niedawno doznał kontuzji łydki i pauzował kilka tygodni. Wrócił do zdrowia i od razu dostał szansę występu w pierwszym składzie: zagrał 70 minut w wygranym 2:0 meczu z Torino.

W sobotę Buksa ponownie wybiegł na murawę od początku, w meczu 36. kolejki Serie A, przeciwko Cagliari. W 56. minucie Hassane Kamara zacentrował w pole karne, a Adam uderzył z bliskiej odległości, trafiając do siatki. Buksa został zdjęty dziewięć minut później, a zastąpił go etatowy napastnik Udinese, Anglik Keinan Davis. Minutę przed bramką naszego rodaka z murawy ściągnięty został Jakub Piotrowski. W doliczonym czasie Davis zaliczył asystę przy bramce Idrissy Gueye. Udinese wygrało ostatecznie 2:0. Buksa został oceniony na 7,3, a Piotrowski na 7,1 pkt.

Inter znowu wygrywa, Zieliński obserwuje

Przed tygodniem Inter Mediolan świętował zdobycie 21. mistrzostwa Włoch. Pomógł w tym niewątpliwie Piotr Zieliński, zaliczając asystę. W sobotę Inter pokonał Lazio Rzym 3:0, ale Zieliński nieoczekiwanie spędził cały mecz wśród rezerwowych. Był obserwatorem, jak bramki strzelają jego dwaj rywale o walce o wyjściowy skład: Petar Sucić i Henrich Mychitarian. Gola strzelił wracający do zdrowia Lautaro Martinez.

Cały mecz wśród rezerwowych Lazio przesiedział Adrian Przyborek. Były gracz Pogoni nie dostąpił jeszcze zaszczytu debiutu w Serie A. Także Filip Marchwiński spotkanie Lecce z Juventusem (0:1) obejrzał z ławki. Cały mecz w barwach Sassuolo rozegrał natomiast Sebastian Walukiewicz. Jego zespół przegrał jednak 1:2 z Torino.

Kane nie strzelił karnego Grabarze

Bayern Monachium w sobotę zmierzył się z VfL Wolfsburg, którego barw broni Kamil Grabara. „Wilki" walczą o pozostanie w Bundeslidze, a Bayern już zapewnił sobie mistrzostwo. W 36. minucie po analizie VAR Bawarczycy dostali rzut karny. Naprzeciwko naszego reprezentacyjnego golkipera ustawił się Harry Kane. Lider klasyfikacji strzelców Bundesligi był przekonany, że strzeli gola i postanowił huknąć w prawe okienko.



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Adam Buks dostał od trenera Kosty Runjaicia kredyt zaufania, który spłacił w 56. minucie meczu

Grabara rzucił się w jedną stronę, a piłka po strzale Kane'a wylądowała… na trybunach.

Bayern zdołał jednak wygrać z Wolfsburgiem 1:0 po atomowym uderzeniu Michaela Olise. Francuz zbiegł ze skrzydła i huknął pod poprzeczkę. Grabara był bezradny.

Kolejną porażkę zanotowało St. Pauli Hamburg z Arkadiuszem Pyrką w składzie. Klub Polaka okazał się słabszy od RB Lipsk 1:2. Pyrka regularnie gra po 90 minut, lecz ostatni mecz ligowy jego klub wygrał w końcówce lutego.

St. Pauli i Wolfsburg w ostatniej kolejce będą bić się w bezpośrednim meczu o zajęcie 16. miejsca, które zapewnia baraż o utrzymanie w najwyższej klasie rozgrywek.

Dublet Benedyczaka

W 2. Bundeslidze bramki strzelili dwaj Polacy. Maik Nawrocki trafił dla Hannoveru 96 w zremisowanym 1:1 meczu z Bochum, a Dariusz Stalmach rozegrał świetny mecz dla Magdeburga. 20-latek strzelił gola i zaliczył asystę, a to wszystko w godzinę, bo tyle przebywał na murawie. Magdeburg wygrał 3:1 z Holstein Kiel.

83 minuty rozegrał też Mateusz Żukowski, ale tym razem nie udało mu się wpisać na listę strzelców.

Adrian Benedyczak zimą został wypożyczony z Parmy do Kasimpasy. W Turcji prezentuje się kapitalnie. W meczu z Genclerbirligi pierwszego gola zdobył już w 1. minucie! W 12. minucie Kasimpasa dostała rzut karny, a do jedenastki podszedł Benedyczak. Polak wykorzystał tę szansę z zimną krwią.

Adrian zdobył dziewiątą i dziesiątą bramkę w tym sezonie, a był to dla niego dopiero czternasty mecz. Niestety, dwie bramki naszego rodaka nie wystarczyły. To Genclerbirligi okazało się lepsze i wygrało z Kasimpasą 3:2. W ostatnim meczu Benedyczak i jego koledzy zagrają z mistrzem kraju – Galatasarayem Stambuł.

WYNIKI MECZÓW LIG TOP 5

36. kolejka Premier League:
Liverpool – Chelsea 1:1, Sunderland – Manchester United 0:0, Fulham – Bournemouth 0:1, Brighton – Wolverhampton 3:0, Manchester City – Brentford 3:0.

33. kolejka Ligue 1:
RC Lens – Nantes 1:0.

35. kolejka La Liga:
Levante – Osasuna 3:2, Elche – Alaves 1:1, Sevilla – Espanyol 2:1, Atletico – Celta Vigo 0:1, Real Sociedad – Real Betis 2:2.

33. kolejka Bundesligi:
Borussia Dortmund – Eintracht Frankfurt 3:2, Stuttgart – Bayer Leverkusen 3:1, Hoffenheim – Werder Brema 1:0, RB Lipsk – St. Pauli 2:1, Augsburg – Borussia Mönchengladbach 3:1, Bayern Monachium – VfL Wolfsburg 1:0.

36. kolejka Serie A:
Torino – Sassuolo 2:1, Cagliari – Udinese 0:2, Lazio – Inter 0:3, Lecce – Juventus 0:1.

©℗

eprasa.pl bcd09884b6

Polscy bokserzy z wygraną w Memoriale Feliksa Stamma

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Z bieżnią lekkoatletyczną pożegnał się na dobre, kończąc karierę, Karol Zalewski – mistrz olimpijski w sztafecie mieszanej 4 x 400 metrów (Tokio, 2020), halowy mistrz i rekordzista świata w sztafecie 4 x 400 metrów mężczyzn (Birmingham, 2018). Żaden z Polaków nie biegał tak szybko 300 metrów (31,93 s).

Katarzyna Niewiadoma (Canyon-SRAM zondacrypto) zajęła 8. miejsce w klasyfikacji generalnej siedmioetapowego wyścigu kolarskiego Vuelta a Espana.

Rywalizacja rozstrzygnęła się na 12-kilometrowym, bardzo stromym podjeździe na Angliru (średni kąt nachylenia 10,3 proc.), na który kobiety wspinały się po raz pierwszy.

Zwyciężyła niespodziewanie Szwajcarka Petra Stiastny (Human Powered Health).

Druga, ze stratą 23 sekund, była Hiszpanka Paula Blasi (UAE Team ADQ), ale wyprzedziła o 36 sekund piątą na mecie dotychczasową liderkę, Holenderkę Annę van der Breggen (Team SD Worx-Protime), tym samym zapewniając sobie końcowy triumf. Katarzyna Niewiadoma ukończyła etap na 11. miejscu ze stratą 2 min i 16 s.

23-letnia Blasi jest pierwszą reprezentantką gospodarzy na liście triumfatorek Vuelty. W klasyfikacji generalnej wyprzedziła o 24 sekundy van der Breggen oraz o 49 sekund Francuzkę Marion Bunel (Visma-Lease a Bike).

Pobiliśmy Brytyjczyków

W finale 41. bokserskiego Memoriału Feliksa Stamma, który tym razem gościł w Radomiu, reprezentacja Polski pokonała Wielką Brytanię 8:6. Trzecie miejsce zajęli Irlandczycy po zwycięstwie nad Niemcami 6:2.

W tegorocznej edycji turnieju organizatorzy zmienili formułę. Zamiast tradycyjnego wyłonienia zwycięzców w poszczególnych wagach, odbył się czwórmecz drużyn mieszanych.

Niestety, Mateusz Rębecki poniósł trzecią porażkę z rzędu. Na gali „UFC 328. UFC 328: Chimaev kontra Strickland", która odbyła się w dobrze nam znanej hali „Prudential Center" w Newark w stanie New Jersey, polski „Chińczyk" musiał uznać wyższość Amerykanina Granta Dawsona. Pojedynek zakończył się przez poddanie w 3. rundzie.

©℗



FOT. PAP/PIOTR POLAK

Reprezentacja Polski w boksie olimpijskim okazała się bezkonkurencyjna w 41. Memoriale Feliksa Stamma



FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Pojawia się coraz więcej informacji o podpisaniu przez Katarzynę Niewiadomą kontraktu z nową grupą – Lidl-Trek

Żużel Reprezentacja Polski zdobyła srebro DME w Rzeszowie

PRZERWANA PASSA POLAKÓW

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Żużlowa reprezentacja Polski nie obroniła tytułu drużynowego mistrza Europy. W finałowych zawodach rozgrywanych w Rzeszowie Biało-Czerwoni musieli uznać wyższość Duńczyków.



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Żużlowa reprezentacja Polski zdobyła srebrny medal Drużynowych Mistrzostw Europy

To była piąta edycja DME, cztery poprzednie kończyły się zwycięstwem Polaków, Duńczycy z kolei zawsze zajmowali drugie miejsce. Kadra prowadzona przez trenera Stanisława Chomskiego stanęła w Rzeszowie przed szansą przedłużenia złotej serii.

Biało-Czerwoni nie mogli jednak wystąpić w najmocniejszym składzie. W ostatnich chwili ze składu wypadł Piotr Pawlicki, który doznał urazu w piątkowym meczu ligowym jego Unii Leszno w Grudziądzu. W miejsce zawodnika „Byków" w trybie awaryjnym powołano aktualnego młodzieżowego indywidualnego wicemistrza świata Wiktora Przyjemskiego z pierwszoligowej Polonii Bydgoszcz.

Zgodnie z regulaminem każda z reprezentacji w rozgrywanym w stolicy województwa podkarpackiego finale mogła skorzystać z jednego zawodnika startującego w cyklu Speedway Grand Prix, musiała mieć także w składzie – na pozycji rezerwowego – żużlowca poniżej 21. roku życia. Trener Chomski postawił na sześciokrotnego mistrza świata Bartosza Zmarzlika, tym samym musiał z kadry skreślić Kacpra Worynę, Dominika Kuberę i Patryka Dudka. Jako młodzieżowiec wystartował 19-letni Bartosz Bańbor, tegoroczny maturzysta.

Polskim żużlowcom, którzy byli faworytami finału, od samego początku nie szło najlepiej. W pierwszej serii dwukrotnie przyjeżdżali na ostatnich miejscach i zaczęła zarysowywać się przewaga Duńczyków. W zespole prowadzonym przez Nikiego Pedersena punktowała cała ekipa, zwłaszcza Rasmus Jensen, startujący na co dzień w pierwszoligowej Stali Rzeszów, oraz Michael Jepsen Jensen.

Po słabszym początku Polacy zaczęli gonić Duńczyków, ale nie byli w stanie dobrać się do skóry Skandynawom. Przed biegami nominowanymi Duńczycy mieli 39 punktów, a Polacy 28. Już po pierwszym z nominowanych biegów Duńczycy mogli fetować historyczne złoto. Ostatecznie zgromadzili 43 punkty, Polacy zdobyli cztery oczka mniej.

W naszej drużynie świetnie spisywał się Bartosz Bańbor. Zawodnik Motoru Lublin zdobył 14 punktów w pięciu startach. Dwa oczka mniej, ale w sześciu gonitwach, uzyskał sześciokrotny mistrz świata Bartosz Zmarzlik. Osiem punktów zdobył Przemysław Pawlicki, trzy Bartłomiej Kowalski, a dwa Wiktor Przyjemski.

– Było ciężko, ale walczyliśmy, wystarczyło punktów na srebrny medal – powiedział po zawodach Zmarzlik, kapitan reprezentacji Polski.

Brązowy medal wywalczyli Szwedzi, ostatnie miejsce zajęła reprezentacja Łotwy.

Adam Godlewski

„Krótka piłka"



DWA BIEGUNY PIŁKI W KRAKOWIE

Wydarzeniem tygodnia w polskim futbolu jest bez wątpienia powrót Wisły Kraków do ekstraklasy po 4-letniej przerwie. Nikt nie ma wątpliwości, a w każdym razie mieć nie powinien, że Biała Gwiazda wróciła do domu, bo jej miejsce jest w elicie. I to z kilku powodów – świetnie rozpoznawalnego w każdym zakątku kraju brandu, historycznych wyników plasujących klub z Reymonta wśród najbardziej utytułowanych w Polsce, rzeszy kibiców, a także – obecnej jakości.

Jako pierwszoligowiec sięgnęła przecież dwa lata temu po Puchar Polski, a w kończącym sezonie wyrosła ponad drugi poziom rozgrywkowy; dość powiedzieć, że na dystansie 32 meczów zdobyła najwięcej goli w całej stawce, straciła najmniej i doznała (nie licząc walkoweru ze Śląskiem) tylko 2 porażek.

Architektem awansu był Jarosław Królewski, postać niejednoznaczna i – nawet delikatnie określając – ekscentryczna. Godzi się przypomnieć, że szkoleniowców na pewnym etapie futbolowego wtajemniczenia szukał przy pomocy sztucznej inteligencji i miewał inne mocno oryginalne (żeby nie określić: dziwne) pomysły – z niedawnym głośnym bojkotem meczu ligowego we Wrocławiu, ale na koniec dnia ten ratownik Białej Gwiazdy postawił na swoim, za co należą mu się wielkie brawa. Wytrzymał banicję, nawet na ostatniej prostej dofinansował klub kilkumilionową kwotą i generalnie – okazał się właściwym człowiekiem na bardzo trudne czasy, które zespół spod Wawelu ma już na szczęście za sobą. Gratulacje!

Szkoda natomiast, że krakowski futbol w wydaniu pierwszoligowym ma też przeciwny biegun. Tym drugim jest oczywiście Wieczysta, której właściciel okazał się – w oparciu o medialne doniesienia – człowiekiem co najmniej niepoważnym.

Wojciech Kwiecień najpierw zaangażował się w z gruntu szalony, kosztowny i w zasadzie od początku pozbawiony biznesowego sensu (działając w mega trudnym środowisku, za plecami znacznie bardziej rozpoznawalnej Wisły, której zresztą jest wielkim kibicem i ekstraklasowej Cracovii) – projekt. A kiedy był już bliski spełnienia marzenia o awansie do ekstraklasy – pojawiły się przecieki, że w przyszłym sezonie Wieczysta zacznie rozgrywki od… IV ligi. Bo człowiek, który finansował dotąd swój kaprys, zabierze zabawki i zostanie współudziałowcem Białej Gwiazdy.

Oczywiście, to prywatny kapitał Kwietnia i ma on święte prawo dysponować nim wedle własnego życzenia. Pan Wojciech zapomniał jednak najwyraźniej, że przystąpił do gry na określonych zasadach, gdzie stawką są nie tylko spadki i awanse, ale także baraże. Termin wycieku informacji o rozważanym wycofaniu Wieczystej z profesjonalnych rozrywek na finiszu sezonu zasadniczego był najgorszy z możliwych. I to nie tylko dla zawodników tego klubu, których gra i wyniki z dnia na dzień pójdą do kosza. To bowiem także zapowiedź bałaganu, nawet w kilku ligach.

Dlaczego Kwiecień nie pomyślał o znalezieniu inwestora i wycofaniu przynajmniej części nakładów – a przy tym o szacunku dla poświęconej temu projektowi energii (zamiast o wycofaniu Wieczystej) – nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że ludzi, dla których poważny futbol bywa chwilową zachcianką, lepiej trzymać od niego z daleka.

eprasa.pl bcd09884b6

Iga Świątek dogaduje się z nowym trenerem

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

To już kolejny turniej, w którym w sztabie Igi Świątek zastanawia chwilami brak kontrowersyjnej psycholog Darii Abramowicz... Najpierw Stuttgart, potem Madryt, teraz Rzym. O co chodzi?

Otóż w boksie na kortach kompleksu sportowego „Foro Italico" - najpiękniejszego obiektu tenisowego w Europie, wzniesionego na północnym nabrzeżu Tybru, u stóp zalesionego wzgórza Monte Mario - pojawiła się... siostra Igi Świątek, starsza o 3 lata Agata, która na co dzień pracuje jako dentystka.

W młodości również trenowała tenis i odnosiła sukcesy, jednak zrezygnowała z kariery sportowej na rzecz medycyny, którą studiowała w Lublinie.

W przeszłości tata dziewczyn, Tomasz Świątek, sam był profesjonalnym sportowcem, konkretnie wioślarzem. Wziął nawet udział w Igrzyskach XXIV Olimpiady w Seulu w 1988 roku, gdzie rywalizował w czwórce podwójnej (w osadzie pływał ze Sławomirem Cieślakowskim, Andrzejem Krzepińskim i Mirosławem Mrukiem). Jak mówił przed laty w jednym z wywiadów, chciał, aby jego córki też uprawiały jakiś sport.

Kontuzja trenera

Turniej WTA 1000 „Internazionali BNL d'Italia" (pula nagród: 8 312 293 dolarów) rozgrywany na kortach ziemnych to zawody niezwykłe.

- Pracuję w firmie w Rzymie, poprosiłam o dzień urlopu, żeby zobaczyć po raz pierwszy w tym roku mecz Igi - powiedziała młoda Polka, która w specjalnie przyjechała na korty „Foro Italico".

Świątek turniej w Rzymie wygrywała trzykrotnie: w 2021, 2022 i 2024 roku. Imprezą żyje całe miasto, a w tym roku za największą atrakcję uważany jest specjalny kort na Piazza del Popolo.

Raszynianka pytana o okoliczności kontuzji swojego trenera Francisco Roiga, w wyniku której ma nogę w gipsie, wyjaśniła, że stało się to podczas treningu na wspomnianym... Piazza del Popolo.

Hiszpański trener ma zerwane ścięgno Achillesa i poleciał na operację do Warszawy - w towarzystwie Darii Abramowicz - po której wrócił do Rzymu.



FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Od kilku tygodni Iga Świątek zatrudnia hiszpańskiego szkoleniowca Francisco Roiga

- Chciał wrócić, naprawdę doceniam to, że on tu jest, bo na pewno nie jest mu lekko. Staramy się otoczyć go opieką i pokazać wysiłki teamu w tym zakresie - dodała Iga.

Podkreśliła, że Roig opuścił tylko jeden trening, a trudno mu poruszać się po korcie.

- Nie jest teraz łatwo podczas zajęć, bo on nie może być przy mnie, ale na pewno damy radę - zapewniła nasza tenisistka.

Wyjaśniła również, że w trakcie treningu na Piazza del Popolo ludzie nie zorientowali się, jak poważna była kontuzja Roiga.

- Naprawdę był bardzo dzielny w tamtym momencie. Na początku myślałam, że on żartuje - mówiła Iga.

Podkreśliła, że jej relacje z katalońskim szkoleniowcem, który przez kilkanaście lat (2005-2022) był członkiem sztabu Rafaela Nadala, są bardzo dobre od samego początku.

Podczas jednej z konferencji prasowych Raszynianka bardzo pozytywnie oceniła współpracę z nowym trenerem. Podkreśliła, że nadają na tych samych falach, a to jej zdaniem pewna odmiana w sztabie.

Ta sama wizja

- Mamy taką samą wizję tego, jak powinnam grać, i on pomaga mi to osiągnąć - stwierdziła. - Czuję, że rozumiemy się bardzo dobrze. Mamy różne opcje podczas treningów, co jest wspaniałe, bo nie byłam zadowolona z tego, jak grałam kilka miesięcy temu. Czasem wracam do starych przyzwyczajeń. Będę potrzebowała trochę czasu, by robić to, czego chce Francisco. To jest proces. ©℗

Kasa wypłaci - rok 2026:
1. runda = 18 497 dolarów;
2. runda = 29 842 dolarów;
3. runda = 53 894 dolarów;
4. runda = 92 993 dolarów;
ćwierćfinał = 175 436 dolarów;
półfinał = 338 142 dolarów;
finalistka = 642 488 dolarów,
zwyciężczyni = 1 234 235 dolarów.

Rekordowe zainteresowanie Pucharem Tymbark. Mazowieckie na podium

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **XXVI Puchar Tymbark wchodzi w decydującą fazę. Finał na Mazowszu odbędzie się w dniach 18-20 maja w Powiatowym Ośrodku Sportu Miętne koło Garwolina.**

Tegoroczna edycja Pucharu Tymbark cieszy się ogromnym zainteresowaniem - do rozgrywek zgłosiło się rekordowo ponad 15 tysięcy drużyn ze wszystkich powiatów w Polsce, co trzecia szkoła podstawowa ma swojego przedstawiciela w turnieju, a już 24 procent zespołów to drużyny dziewczęce.

W województwie mazowieckim zgłosiły się aż 1482 drużyny (w 2025 roku było 1249 drużyn), co dało drugie miejsce w kraju za województwem lubelskim (2263), a przed wielkopolskim (1318).

Puchar Tymbark to także ważny punkt startowy w piłkarskiej drodze wielu zawodniczek i zawodników. Wśród byłych uczestników znajdują się reprezentanci Polski m.in. Krzysztof Piątek, Piotr Zieliński, Jakub Moder, Sebastian Szymański, Adam Buksa, Bartłomiej Drągowski, Jakub Kiwior, Oskar Pietuszewski, Karol Świderski czy Jakub Kamiński, który wielokrotnie podkreślał rolę turnieju na początku swojej sportowej kariery.

- Sam miałem okazję brać udział w Pucharze Tymbark i bardzo dobrze to wspominam. Z roku na rok przybywa zespołów i zawodników, a poziom sportowy rośnie. To świetna inicjatywa i turniej, który mocno rozwija pod kątem piłkarskim. Zawsze będę zachęcał do udziału, bo można przeżyć coś, co zostaje w pamięci na całe życie. Trzymam kciuki, aby napisała się kolejna piękna historia. To jest możliwe, co pokazują liczne przykłady obecnych reprezentantów, którzy mają za sobą grę w tym turnieju - mówi popularny „Kamyk", reprezentant Polski i były uczestnik Pucharu Tymbark.

Już połowa reprezentacji Polski zarówno męskiej prowadzonej przez Jana Urbana, jak i kobiecej, której selekcjonerką jest Nina Patalon, to zawodnicy i zawodniczki, którzy grali w Pucharze Tymbark.

W kadrach młodzieżowych byłych uczestników turnieju jest jeszcze więcej. W reprezentacji U-17 mężczyzn, która wywalczyła w 2023 roku trzecie miejsce na ME, blisko 70 proc. stanowili uczestnicy Pucharu Tymbark, a w kadrze kobiet U-17, która na ME wywalczyła 5. miejsce 86 proc. zespołu to uczestniczki Pucharu Tymbark.

Od 2023 roku Puchar Tymbark i jego uczestnicy są oficjalnym partnerem piłkarskiej reprezentacji Polski, a mecze finałowe odbywają się przed meczami kadry.



FOT. PUCHAR TYMBARK/PZPN

Sędzia FIFA Szymon Marciniak z chęcią prowadzi mecze Pucharu Tymbark

Sędzią finałów Pucharu Tymbarku jest od lat arbiter międzynarodowy, który prowadził finał mistrzostw świata 2022 w Katarze Argentyna - Francja (3:3 po dogrywce, 4-2 w karnych), finał Ligi Mistrzów 2023 w Stambule Manchester City - Inter Mediolan (1:0).

- Emocje dla tych dzieci w Pucharze Tymbark są pewnie takie same jak dla piłkarzy grających w finałach mistrzostw świata. Dlatego nie jest tak, że sędziowie przyjeżdżają tylko wykonać swoją pracę. Trzeba się naprawdę postarać, być skupionym i skoncentrowanym, żeby dzieci mogły zająć się wyłącznie piłką. Tam są prawdziwe łzy radości i prawdziwe łzy rozpaczy. Nie ma więc sędziowania „dla zabawy". Te mecze muszą być poprowadzone tak, by nikt nie mówił o sędziowaniu, a o grze. Aby najlepsi naprawdę zwyciężyli, a ci, którzy przegrają, przegrali tylko dlatego, że tego dnia byli słabsi - mówi Marciniak.

W tym roku po wyłonieniu zwycięzców w 16 województwach (drużyn dziewcząt i chłopców w kategoriach U-10 i U-12) Finał Ogólnopolski XXVI Pucharu Tymbark zaplanowano na początek czerwca w Warszawie, gdzie po zakończeniu rozgrywek obejrzą mecz towarzyski Polska - Nigeria, 3 czerwca na PGE Narodowym.

Sponsorem generalnym rozgrywek jest marka Tymbark. XXVI edycja Pucharu Tymbark jest współfinansowana przez Ministerstwo Sportu i Turystyki. W skład Komitetu Honorowego turnieju wchodzą: Minister Sportu i Turystyki, Minister Edukacji oraz Minister Zdrowia. ©℗

eprasa.pl bcd09884b6

MAGAZYN

SPORTOWY WEEKEND

Finisz w PKO Ekstraklasie jest pasjonujący. Piłkarze bogatego Widzewa wreszcie zagrali na miarę oczekiwań i wydostali się „spod kreski” STR. 20



FOT. PAP/MARIAN ZUBRZYCKI

Przebudzenie na ostatniej prostej

WISŁA KRAKÓW WRÓCIŁA DO ELITY PO CZTERECH LATACH BANICJI
STR. 22

Ligi zagraniczne. Buksa z golem w Italii, Benedyczak skuteczny w Turcji
STR. 21

Polscy żużlowcy znaleźli pogromców w drużynowych mistrzostwach Europy
STR. 22

eprasa.pl bcd09884b6